

- Życie intymne dyrektora „Centralu” — str. 7
- Belchatów przed wielką budową — str. 5
- Nowa, bulwersująca powieść W. Rasputina — str. 1 i 14
- Czy Ameryce grozi krach taki jak w 1929 roku? — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 48 (1496) ROK XXIX

29 LISTOPADA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Nie wystarczy kochać przyrodę

WITOLD BOROWY

Z Bazylei w Szwajcarii Renem do Morza Północnego płynie trucizna. W Bazylei spółnele magazyny firmy Sandoz i trujące substancje dostały się do wód Renu. Ale specjaliści badający te trucizny znaleźli wśród nich i takie, jakich Sandoz nie produkuje. Okazało się, że w sąsiadujących z magazynami Sandoza zakładach Ciba-Geigy była awaria i do wód Renu wlały się silnie stężone środki owadobójcze. Podejrzewa się, że inni producenci różnych chemikaliów skorzystali z „okazji” i do wód Renu wlaali to, czego mieli za dużo, a czego musieli się pozbyć. Chemicy badają teraz, kto i jakich trucizn był „autorem”.

Niedawno cementownia w Ostrawie w CSRS przeszła z opalania swoich pieców gazem ziemnym na mazut. Ktoś nie dopilnował urządzeń tłoczących mazut i zaczął się on wylewać do kanalizacji. Z kanalizacji do rzeczki Lucziny, następnie do Ostrajcy i do Odry. W CSRS i Polsce do usuwania mazutu z powierzchni wody przystąpiło wojsko, służby obrony cywilnej i ochrony przyrody, a także straż pożarna. Na rzecze ustawia się zapory, które zatrzymują płynący na powierzchni wody mazut i pompami przetrząca się go do zbiorników. Dzięki tej pracy sytuacja na Odrze powoli wraca do normy.

Te dwa tak różne wydarzenia mają przecież wspólny mianownik: zagrożenie przyrody nie zna granic, ani podziałów terytorialnych i tym skuteczniej może być zwalczane, im skuteczniej łączy się do tego zwalczania siły i środki.

Finlandia — wydawałoby się — leży na peryferiach Europy. Ma 180 tysięcy jezior i ogromne lasy. Peryferyjne położenie w stosunku do całości europejskiego kontynentu powinno pomniejszać jej zainteresowanie sprawami zagrożenia przyrody. A przecież jest inaczej. Finlandia sama czyni wysiłki, aby woda w tych jeziorach była czysta, a lasy zdrowe, nie zanieczyszczone przy tym współdziałania z sąsiadami. We wrześniu 1986 roku w Sztokholmie — z inicjatywy Rady Nordyckiej — odbyła się konferencja parlamentarzystów, z 16 państw Europy, wśród których byli: Związek Radziecki, Polska, Czechosłowacja, NRD, Wielka Brytania, RFN, Francja i kraje skandynawskie, a na której omawiano problemy przeciwdziałania zanieczyszczeniu powietrza. Uznano za niezbędne ograniczenie emisji tlenków azotu, węglowodorów dwutlenku siarki i innych. „Wiatry nie znają bowiem granic i wieją skąd chcą i

4

Pożar

WALENTIN RASPUTIN

Już wcześniej czuł Iwan Pietrowicz, że jego siły są na wyczerpaniu, ale jeszcze nigdy nie czuł tego tak jasno: koniec, i tyle. Odstawił samochód do garażu, wyszedł przez pustą, korytarz na ulicę i po raz pierwszy droga z garażu do domu, której nie zauważał przez dwadzieścia lat, tak jak zdrowy człowiek nie zauważa własnego oddechu, po raz pierwszy ta biała droga z całą skrupulatnością ujawniła mu swoją rozciągłość, której każdy metr wymagał kroku, a każdy krok wymagał wysiłku. Nie, nogi nie niosły już, nie niosły nawet do domu.

I nadchodzący tydzień, ostatni tydzień pracy, wydał mu się nieskończenie długi — dłuższy niż życie. Nie mógł sobie wyobrazić, jak zdoła nateżyć siły, żeby przeżyć ten tydzień i już zupełnie nie był w stanie sięgnąć ni myśla, ni wzrokiem do bytowania, które miało nastąpić potem. Było to coś obcego, zakazanego — zasłużonego, ale nierozróżnionego, i czymś odległym, i mniej oczywistym nawet od śmierci wydało mu się w tych gorzkich chwilach.

I co go tak zmęczyło? Przecież nie przepracował się dzisiaj, obeszło się nawet bez nerwów, bez krzyku. Po prostu pokazał się kres, kres — dalej nie ma dokoła. Jeszcze wczoraj miał coś przed sobą, dzisiaj wszystko się skończyło. Jak jutro wstawać, jak uruchamiać samochód i wyjeżdżać — nie wiadomo. A e nawet i wia: w ten jutrzejszy dzień przychodziła z trudem i jakąś złośliwą, satysfakcją przynosił mu ten brak wiary: niech nastanie długa, długa noc, bez miary i końca, żeby jedni odpoczęli, drudzy opamiętali się, jeszcze inni otrzeźwieeli. A po niej — nowy świt i wyzdrowienie. To by było dobrze.

Wieczór był wilgotny, cichy. Za dnia się ociepilo i potem mróz nie ścisnął, i nie zanosilo się nawet na to. Nawet na twardej drodze nogi zapadały się w mokrym śniegu, zostawiając głębokie ślady; dalej bulgotały strużki wody, spływające po pochłóściach. W zęstińiałym w czysty granat aksaminnym zmierzchu w tej porze wiosennych roztopów wszystko wokół wydawało się zatopione, pływające bezładnie w wodzie, i tylko Angara, gdzie śnieg był bielszy i czystszy, wyglądała z daleka jak stały ląd.

Iwan Pietrowicz dotarł wreszcie do domu, nie pamiętając, czy zatrzymywał się gdzieś po drodze, czy z kimś rozmawiał, i nie czując zwykłego bólu, kiedy dusza się obrywa, a może wyrwa, minal rozwalony płot koło domu i zamknął za sobą furtkę. Z podwórka za domem, od strony obórki, dobiegał głos Alony, mówiącej coś nieszczerliwie do miesięcznej cielićki. Iwan Pietrowicz rzucił w sieni brudne buty, zmusił się do mycia, i nie wytrzymał, upadł na leżankę stojącą w przedpokoju koło wielkiego ciepłego boku rosyjskiego pieca. „To tutaj teraz jest moje miejsce” — pomyślał,

14

Foto: Grzegorz Gałasiński

NR 48 (1496), XXIX, 29 LISTOPADA 1986 R.

Był to rok wielu sensacyjnych, burzliwych, a niekiedy dramatycznych i tragicznych wydarzeń. Był to rok XX Zjazdu KPZR i referatu Nikity S. Chruszczowa wygłoszonego na zakończenie obrad. Referat, gdy dołtarł do ludzi, wieloma wstrząsnął. Ale wieść o nim powoli docierała do ludzi. Najpierw szeptało, o tym w wielkiej tajemnicy. Ośrodki antykomunistyczne nie omieszczały tekstów referatu wysyłając w formie ulotek balonami nad Polskę.

Owczesny wiceminister spraw zagranicznych Józef Winiewicz na początku marca udał się wraz z innymi pracownikami MSZ do Moskwy. Minister Skrzyszowski — wspomina tę wyprawę do Moskwy w książce „Co pamiętam z długiego życia” — zaplanował na marzec wyjazd całego kolegium MSZ do Moskwy na spotkanie z towarzyszami radzieckimi i ich resortu zagranicznego. Mieliśmy zapoznać się z pracą i trybem działania służby zagranicznej ZSRR. Naszej garstce przewodził wiceminister Marian Naszkowski. Dla niego nowości w Moskwie nie było.

Wizyta ta miała miejsce już

PO XX ZJEZDZIE KPZR

lecz oni — jak to wspomina Józef Winiewicz — byli „nieświadomi pełnego jego przebiegu”.

„W Moskwie — pisze dalej autor książki „Co pamiętam z długiego życia” — bawili w tym czasie towarzysze Bierut; leżał ciężko chory, mówiono, że na grupę. Odwiedzał go Naszkowski, ale swoim obyczajem zbywał nasze pytania o gołębiki. Prawda zaczęła świtać dopiero, gdy serdecznie żegnani odjeżdżaliśmy pociągami w drogę powrotną. Zatrzymaliśmy się w Mińsku... Zwiędziałśmy dalej miasto, ciągle nieświadomi. Odpoczynek mieli być liczne poczęstunki i biesiady. Nie dano się wylewać napojów za kolację. Mnie ratowała późna nocą poręba kąpieli, bo już o 5.00 czy 6.00 rano mieliśmy kontynuować podróż do Warszawy. W środku nocy obudzono mnie jednak wiadomością, że towarzysze Naszkowski zaniemógł, prosi mnie do siebie, aby przekazać do Warszawy ważną przesyłkę. Był rzeczywisty, w silnej gorączce. Wręczył mi grubą kopertę od prezydenta Bieruta do Jakuba Bermana; miałem ją doręczyć osobiście, natychmiast po powrocie.

(...) W kilka godzin był Brześć, zmiana podwozia wagonów na szerokość polskich torów oraz nerwowe wołanie na peronie ambasadora radzieckiego w Polsce, P. Ponomarenko, że pragnie mnie widzieć. Siedliśmy w przedziale i ambasador zakomunikował mi, że towarzysze Bierut zmarł kilka godzin temu. (...)

Przysyłki nie doręczyłem już Bermanowi, poleciał do Moskwy samolotem. Odbierał ją Zenon Nowak; nie robił tajemnicy z zawartością koperty, zawierała pełną informację o XX Zjeździe, wraz z tekstem mowy Chruszczowa. Chyba ostatni oficjalny akt działania Bolesława Bieruta.

Proces zmian, nie bez zahamowań i zatrzymań, dokonywał się stale, choć powoli. 1 marca 1958 roku Rada Państwa uchwalała dekret o nowelizacji przepisów sądowych, w myśl których podejrzany w procesie karnym miał większe możliwości obrony. 2 marca odbyła się w KC PZPR narada poświęcona omówieniu przebiegu obrad XX Zjazdu KPZR. Miała ona burzliwy charakter i była podobna do narady z listopada 1955 roku, kiedy to poddano krytyce działalność Biura Politycznego KC PZPR i jego linie polityczną. Obecny na tej naradzie Jerzy Putrament tak ją scharakteryzował w piątym tomie „Pół wieku” zatytułowanym „Poślizg”: „Bieruta nie ma, chory”. Występowali kolejno członkowie naszej delegacji na Zjazd: Zawadzki, Berman, Morawski i Cyrankiewicz. Wszystkie cztery przemówienia były bardzo ogólnikowe, nie dotyczyły w ogóle tego, co już było najgorętszym tematem dnia: zakończenia Zjazdu. Wykładało to z nieobecności Bieruta, żaden z nich czuł się niechciał się angażować w ocenę sprawy jeszcze tak mętnej, a już tak wybuchowej. Z pewnością nie omawiali jej z sobą, wspólnej pozycji nie ustalili.

Byłem trochę zawiedziony, słuchając ich. Miałem do nich dużo zaufania, ich stanowisko w sprawie mierze określiłoby moje. A tak pozostawałem w niepewności i rozterce: co teraz będzie?

Co prawda trwało to krótko: aż do pierwszego dyskusyjnego.

Józef Cyrankiewicz mówił na tej naradzie o problemach ekonomicznych, jakimi zajmował się XX Zjazd KPZR. Aleksander Zawadzki zajął się zwalczaniem kultu jednostki. Jakub Berman mówił o „zderzeniu w działalności partyjnej KPZR nawiązaniu do dogmatycznych” — jak to określił w „Rzeczywistości” Czesław Kozłowski. Jerzy Morawski zajmował się problemami kolegialności. W dyskusji poddano ostrej krytyce Biuro Polityczne KC PZPR, rząd za zajmowanie się drobiazgami zamiast sprawami o zasadniczym, perspektywicznym znaczeniu. Biuro Polityczne KC PZPR 6 marca dokonało oceny tej narady i stwierdziło, że „podstawowy kierunek wypowiedzi był słuszny”, choć zdarzyło się kilka nieodpowiedzialnych wystąpień, ale tym niemniej krytyka zahamowań i opóźnień w realizacji uchwał III Plenum KC PZPR była „na ogół uzasadniona”, a powodem tych zahamowań był brak kolegialności w pracach Biura Politycznego. Echa tej narady szeroko rozeszły się po kraju i miała ona ważne znaczenie w dokonującym się procesie demokratyzacji w partii i społeczeństwie.

Od 10 do 12 marca 1958 roku obradował II Kongres ZSL. Prezesem NK ZSL wybrano Władysława Kowalskiego. 11 marca Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o zwolnieniu Mariana Spychalskiego z więzienia.

12 MARCA 1958 ROKU ZMARŁ W MOSKWIE BOLESŁAW BIERUT

„Bolesław Bierut — zanotował te uwagi Jerzy Putrament w „Poślizgu” — miał swoje słabości... Ale był życiowy dla ludzi i popularny, o czym niebawem zaświadczy jego pogrzeb, a potem jego mogiła na Powązkach.

Niewątpliwie zwałł go z nog reportaż ostatniego dnia Zjazdu. Nie, że były dlań zaskoczeniem fakty w nim podane. Ale znając je, dźwiękając tę świadomość jak piecaki wyładowany kamie-

niem, co było udziałem komunistów jego epoki, oswoił się z tym ciężarem, przyjął oficjalną wersję. Wszystko, co mówił i czynił, wynikało z tego, choć sam dołożył starań, aby nie dopuścić do nowej fali wewnętrzpartyjnego terrorku. To w dużej mierze jego zasługa, że w Polsce obeszło się bez monstrualnych procesów...

Hamowały go zapewne obawy, że w trakcie „odwrotu” wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni przejdą do „ofensywy” i postarają się odzyskać utracone w poprzednich latach pozycje. I stąd lata kontendansowe: każdy krok odwiłżył wywołany furiacki napór przeciwnika, że zaraz następował kolejny „przymrozek”.

Kontendansę teraz się skończyła. Trzeba było „wziąć swoje odpowiedzialności”, jak mówią Francuzi.

Tego właśnie serce jego nie wytrzymało. Należał do kompetentny, opowiadając mi o jego ostatnich dniach, mimochoć zdziwił: miał zająć do niego Chruszczow, ale odłożył wizytę, bo musiał śpiesznie autoryzować stenogram swego „raportu”.

To znaczy, że najbardziej wybuchowe swe przemówienie „improvizował”.

Raport zwałł go z nog. Ale dobili Bieruta kto

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Wiosna 1956

inny. Podobno Bierut zdążył przeczytać stenogram owej warszawskiej narady... Jakże musiało zawrócić na jego samopoczuciu pierwsze wystąpienie w dyskusji, a zwłaszcza brak jakiegokolwiek na nią repliki.

Jerzy Putrament owego pierwszego mówcę nazywał S.S. Są to jego inicjały. Kim był właściwie — nie wyjaśniono.

Przed trumną Bolesława Bieruta przeszły tysiące ludzi. Był człowiekiem szanowanym i lubianym. Ludzie szczerze go żalowali. Jerzy Putrament sam nieco wytrącony z równowagi dostał „dziwny sensacyjny sercowy”. Na pogrzebie z tego powodu nie był. Zanotował tylko to, co mu opowiedziano.

„Opowiedziano mi: był wielki tłum, z którym straż porządkowa nie umiała sobie poradzić. Ludzie pchali się bliżej mogiły, żeby jeszcze raz zobaczyć kogoś, kto im był bliski. Była w tym bałaganie swojskość, popularność, zaiste, ludowość Zmarłego”.

W uroczystościach pogrzebowych wziął udział Nikita S. Chruszczow wraz z radziecką delegacją. Po pogrzebie odbyło się spotkanie z radzieckim przywódcą. Wziął on też udział w obradach VI Plenum KC PZPR, na którym wybrano I sekretarzem KC PZPR Edwarda Ochaba. Sekretarzami KC PZPR zostali wówczas: Jerzy Albrecht i Edward Gierka. VI Plenum KC PZPR obradowało 20 marca 1956 roku. Następnego dnia Sekretariat KC PZPR postanowił, że w partii odbędzie się dyskusja nad uchwałami XX Zjazdu KPZR, włączając w to również ów „raport” Nikity S. Chruszczowa wygłoszony w ostatnim dniu Zjazdu na niejawnym posiedzeniu. Jak sugeruje Jerzy Putrament mówca opowiadając swoje rewelacje o Józefie Stalinie „improvizował”.

Wszystkie istotne problemy, jakie znajdowały się w materiałach XX Zjazdu KPZR przeloniły rewelacje Nikity S. Chruszczowa o Józefie Stalinie. Referat ten — który nie był przecież rzetelną analizą istoty tego, co nazywano w skrócie „kultem jednostki” — był w zasadzie opowieścią o ekstrawagancjach Wodza.

Po likwidacji MBP Uniwersytet Łódzki otrzymał pomieszczenia przy ul. Mariana Buczka, gdzie pomieszczył się Wydział Filozoficzno-Historyczny. Tam też, w jednej z sal wykładowych, odbyło się zebranie grupy partyjnej, na której Adam Kozłowski odczytał nam ów sensacyjny referat Nikity S. Chruszczowa. Słuchaliśmy tego w nabożnym skupieniu. Oto przecież jeszcze tak niedawno trwała epoka gipsowych popiersi, wielgachnych portretów, skandowania: „Stalin — Bierut — Pokój!”, prezentów nadsyłanych z całego świata, gdy Józef Stalin w 1949 roku obchodził swoje 70-lecie urodzin; kiedy Wódz występował w różnych filmach tak bardzo niepodobny do oryginału, wyidealizowany i upożycowany; kiedy wypowiadał się we wszystkich sprawach i na wszystkim się znał; kiedy jego imieniem nazywano nie tylko fabryki, nagrody, miasta, ale również różne pomysły, projekty i zamierzenia. Wszystko było stalinowskie. I teraz spokojny głos Adama Kozłowskiego — mego kolegi z roku — obwieszczał nam, że wszystko było białem, kłamstwem, wymysłem, że „król był nagi”, że właściwie okazał się... głupcem.

Nikicie Sergiejewiczowi Chruszczowowi kazal tańczyć hopaka, wielkie operacje wojenne planował na... globusie, był człowiekiem złośliwym i małostkowym. Być może — tak to zresztą dziś widzę — po epoce uwielbienia potrzeba było, aby „idealnie sięgnął bruku”. Miał to pomóc w otrząśnięciu się z kultu dla „Drugiego Wodza Rewolucji”. Ale, czy pomogło?

Do dziś właściwie nie dokonano rzetelnej analizy tej postaci, nie ukazała się monografia, w której sprawiedliwie, po marksistowsku, dialektycznie ukazano by zalety i wady człowieka, który rządził Związkiem Radzieckim w trudnym okresie izolacji, który kierował nim w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, który był dla wielu żołnierzy radzieckich synonimem ojczyzny. Takie sentymenty u niektórych niewątpliwie pozostały. Trudno temu nawet się dziwić. W marcu 1980 roku w pociągu jadącym

z Ułjanowska do Moskwy widziałem mężczyzn sprzedających w korytarzach wagonów kalendarzyki z wszystkimi znanymi niegdyś zdjęciami i obrazami Józefa Wissarionowicza Stalina.

Po dwóch tygodniach od podjęcia decyzji (21 marca 1956 roku) o czytaniu tajnego referatu N. S. Chruszczowa Biuro Polityczne KC PZPR podjęło nową decyzję. Postanowiono ograniczyć czytanie tego referatu tylko do grona sekretarzy POP i członków Instancji partyjnych. Decyzja ta nie miała już większego znaczenia. Jak to słusznie zauważył w książce „Tyle hałasu o nic?” Tadeusz Drewnowski: „Sytuacja narodziła się na dno. Do wybuchu brakowało jeszcze tylko dotarcia do społeczeństwa rewelacji XX Zjazdu i wydarzeń poznańskich”. To pierwsze już się stało. To drugie miało stać się zbawieniem.

18 marca 1956 roku rząd Polski zredukował stan armii o 50 tysięcy żołnierzy i oficerów. Była to druga redukcja wojska. Pierwsza miała miejsce 3 września 1955 roku i objęła 47 tysięcy żołnierzy i oficerów.

16 kwietnia 1956 roku wprowadzono podwyżkę wynagrodzeń dla najmniej zarabiających. 17 kwietnia ukazał się komunikat o rozwiązaniu

wodniczący CRZZ i Stefan Misłuszek — członek i pracownik KC PZPR.

„W godzinach rannych 23 czerwca — stwierdza „Sprawozdanie z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dzielach Polski Ludowej” — strajkujący wyszli na ulice miasta. Około godziny 9.00 na placu Zamkowym, i w jego okolicy zgromadziły się dziesiątki tysięcy ludzi. Masowa manifestacja miała początkowo spokojny charakter. Szybko jednak zaczęła ona wymykać się spod wszelkiej kontroli i przetrwać w groźną siłę niszczycielską. Było to najwyraźniej z celami robotniczego protestu sprzeczne...”

Doszło do starcia zbrojnego. Zrabowano 245 sztuk broni. Wypuszczono 257 więźniów. Zaatakowano budynki sądu i prokuratury oraz gmach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Do Poznania przybyli: premier Józef Cyrankiewicz i wiceminister obrony narodowej gen. Stanisław Popławski, który kierował wojskową operacją przywracania porządku. W poznańskich wypadkach zginęło 55 osób, od ran zmarło 19 osób: 66 osób cywilnych, 3 funkcjonariuszy UB, milicjant i 4 żołnierzy WP. Rany i obrażenia odniosło 575 osób.

Duże były straty materialne poznańskich wydarzeń. Przez kilka dni stały fabryki, zniszczono 29 wozów tramwajowych, podpalono 9 czołgów i 3 samochody opancerzone. Straty spowodowane grabieżą sklepów oceniono na 2,5 miliona złotych.

Komisja Edwarda Gierki, chociaż uznała, że podstawa tych wydarzeń była zorganizowana wroga prowokacja, to przecież dostrzegła również, że w Poznaniu „narastały nastroje niezadowolone z sytuacji ekonomicznej”. Te nastroje pojawiły się nie w 1956 roku, ale zaczęły się kształtować od 1953 roku. Komisja Edwarda Gierki dostrzegła również „długotrwałą głuchotę administracji gospodarczej na słuszne postulaty i pretensje załóg”, ale też nie omieszczała dodać, że nastroje te były „podsypane przez dłuższy okres czasu przez wrogie elementy”.

Raport komisji Edwarda Gierki został przedstawiony 7 lipca na naradzie I sekretarza KW PZPR. W dyskusji pojawili się dwaj nury. Józef Olszewski, I sekretarz KW PZPR w Stalino (Katowice) powiedział między innymi: „Jest bardzo duże niezadowolenie klasy robotniczej w całym kraju, u nas na Śląsku również”. W tym czasie I sekretarzem KW PZPR była Michalina Tatarówna-Majkowska, wybrana na tę funkcję 9 września 1955 roku, a jej miejsce w KW PZPR dla łódzkiego województwa zajął Jerzy Pryma. Na wspomnianej naradzie Michalina Tatarówna-Majkowska powiedziała: „Jeśli mówimy, że imperialiści, to pokazmy im, bo będzie niedobrze. Ale ja uważam, że my w pierścieniu rządu powinniśmy zobaczyć naszą bazę ekonomiczną, która stworzyła te warunki i za nią się zabrać, bo jak się za nią nie zabierzemy, to będą wypadki — nie daj Boże! w Warszawie, Łodzi i Stalino”.

Na naradzie tej doszli też do głosu zwolennicy twardego kursu, jego zastrzeżenia. Jednym z reprezentantów tego kursu był sekretarz KW PZPR w Rzeszowie — Władysław Kruczek, który 22 grudnia 1956 roku wybrany zastępcą I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie. Na wspomnianej naradzie mówił on: „Myśmy wytrzebili z naszych wystąpień w ogóle w ostatnim okresie pojęcie walki klasowej. A przecież w tej chwili mamy bardzo poważne nasilenie walki klasowej, bardzo poważne”. Nie był to głos odosobniony. Wielu było zwolenników zastrzeżenia kursu, którzy uważali, że Poznań był rezultatem „odwylży”.

11 lipca 1956 roku w „Głosie Robotniczym” ukazał się artykuł Zbigniewa Nowickiego „Strzeżmy się naprawy”. Autor pisał: „Po poznańskich wypadkach uświadomił się głos: „Poznań był skutkiem tego, iż popuszczono cugli”. Innymi słowy — zdaniem tych ludzi — Poznań był skutkiem naszej dyskusji, śmiałej krytyki, demokratyzacji.

Tak mówić, to znaczy właściwie dać się sprowoć przez wroga, to znaczy pozwolić wrogowi osiągnąć to, co zamierzał — zahamować proces demokratyzacji i naprawy Rzeczypospolitej.

Dlatego potrzebna jest w dalszym ciągu twórcza dyskusja. Czy możliwe jest dokonanie tego bez krytyki?”

6 lipca 1956 roku „Trybuna Ludu” opublikowała artykuł „Pierwsze wnioski”, w którym wykazała, że w wypadkach poznańskich były dwa nury: robotniczego niezadowolonego oraz wrogiego działania przeciw władzy ludowej. Autorzy niedwuznacznie bronili strajku poznańskich robotników i wskazywali, że wina leży w biurokratycznych wypaczeniach. Tego samego dnia Biuro Polityczne KC PZPR oceniło artykuł jako błędny i odwołało sekretarza KC PZPR Jerzego Morawskiego ze stanowiska naczelnego redaktora „Trybuny Ludu”.

Niezależnie od badań komisji Edwarda Gierki działała w Poznaniu komisja powołana przez Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Na jej czele stał wiceprzewodniczący tego Komitetu Jan Ptaszński. Wnioskując, że komisji były wręcz odwrotne do wniosków komisji E. Gierki. Komisja Jana Ptaszńskiego — jak pisał w książce „Czerwiec 1956 w Poznaniu” Antoni Czubiński — stała na stanowisku, że „do wypadków doszło na tle sytuacji wewnętrznej, że miały one spontaniczny charakter, że u podłoża ich leżały nie rozwiązania na czas a narodziły się problemy ekonomiczne i społeczne, i że nie doceniono politycznych przesłanek wydarzeń”.

Materiały obu tych komisji nie zostały nigdy opublikowane. Korzystał z nich natomiast Władysław Gomułka przygotowujący się do powrotu do życia partyjnego. On też na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 roku, dał zupełnie inną interpretację wydarzeń poznańskich. Ale jeszcze przed tym było VII Plenum KC PZPR.

W CZERWCU W POZNANIU

otwarto międzynarodowe Targi, a 28 czerwca doszło do tragicznych wydarzeń, podczas których byli zabici i ranni.

„W Poznaniu” — stwierdza „Sprawozdanie z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dzielach Polski Ludowej” — na tle przedłużającego się w czasie i niekorzystnego dla wielu grup zawodowych regulowania norm i plac, na które nakładły się również wcześniejsze nieprawidłowości placowe, w dniu 28 czerwca 1956 roku wybuchł strajk w zakładach Cegielskiego. Bezpośrednim jego powodem było to, że w czasie ogólnego zebrania załogi w dniu 27 czerwca minister Przemysłu Maszynowego — Roman Fidelski zakwestionował możliwość realizacji niektórych obietnic danych przez niego dziekanowi w Warszawie robotniczej delegacji zakładów Cegielskiego.”

Poznańskie wydarzenia z 28 i 29 czerwca 1956 roku otrzymały miano „czarnego czwartku” i oficjalnie wówczas przyjęto, że ich powodem było działanie wrogich agentów. Taką tezę przyjęła też komisja powołana przez Biuro Polityczne KC PZPR, na czele której stanął sekretarz KC PZPR — Edward Gierka. W tym czasie nadzorował on w sekretariacie KC pracę przemysłu i komunikacji. Ministrem przemysłu ciężkiego był Roman Fidelski, a wicepremierem nadzorującym ten resort Stanisław Lapot, kierownikiem Wydziału Przemysłu w KC PZPR był Józef Niedźwiecki. W skład powołanej komisji poza Edwardem Gierkiem weszli: Wiktor Kłosiewicz — prze-

gdzie chcą. Tragiczna katastrofa w Czernobylu też pokazała, że świat — mimo różnych podziałów — jest jeden i wiatr radioaktywnej chmury może swobodnie nosić po świecie.

Hoimar von Dittfurth w swojej nowej książce, której fragment pt. „Śmierć biosfery” drukował niedawno „Przegląd Tygodniowy” (nr 32), pisze, że w maju 1977 roku prezydent Jimmy Carter zwrócił się do Kongresu, aby wspólnie z naukowcami sporządzono raport o prawdopodobnych przemianach demograficznych i zmianach w środowisku naturalnym do końca XX wieku. Tak powstał „Global 2000”. A w nim takie stwierdzenie:

„Wnioski, do jakich doszliśmy, są niepokojące. Wskazują one, iż do roku 2000 będziemy mieli do czynienia z problemami o alarmujących rozmiarach. Rosnące stopień zanieczyszczenia środowiska i eksploatacji surowców naturalnych oraz licząca ludność, co będzie miało coraz większy wpływ na jakość życia na naszej planecie”.

Stwierdzenie to nasunęło jego autorom nieodparcie narzucający się wniosek o potrzebie współpracy w skali globalnej, aby te zmiany nie zagroziły w ogóle rodzajowi ludzkiemu. Ale prezydent Ronald Reagan raport „Global 2000” schował głęboko do szuflady w archiwum Białego Domu i zabrał się za wysięg zbrojny i gwiazdne wojny, co również stanowi zagrożenie dla rodzaju ludzkiego i życia w ogóle na planecie zwanej Ziemią.

DYLEMATY CYWILIZACJI

Jakbyśmy tego nie nazywali, to żyjemy w okresie niebywale szybkiego rozwoju techniki, a co za tym idzie całej cywilizacji. Był wiek pary, elektryczności, atomu, jest wiek komputerów i lotów kosmicznych. Wiek pary — to był wiek XIX. W 1811 roku zastosowano silnik parowy do poruszania maszyn drukarskich, w 1819 — do poruszania statków, w 1830 — do poruszania lokomotyw na kole, w 1842 — do poruszania młotów w kuźni, w 1845 — rozpoczęto produkcję ciałek parowych, w 1850 — zaczęto orać przy pomocy lokomoty, w 1857 — parą poruszano windy, w 1859 — powstały parowe walce drogowe.

W 1860 — skonstruowano silnik gazowy, w 1883 — silnik benzynowy, a w 1895 roku — silnik Rudolfa Diesla. W roku 1866 powstała dynamomaszyna Wernera von Siemens, a w 1887 — silnik elektryczny Nikoli Tesli.

Współczesna nam cywilizacja wkroczyła w nowy etap — gwałtownego postępu techniki, szybko rosnącej produkcji i poszukiwania coraz to nowych rodzajów paliw. Wprowadzenie swego czasu w Anglii obawiano się lokomotywy, że przestraszy krowy i zadymi niebo, ale czasy takich obaw zostały już dawno w tyle i nikt nie myślał już o przyrodzie, że cywilizacja dokonuje gwałtu na niej. Bogactwa przyrody, jej siły wydawały się tak potężne, tak ogromne, że prawie nie do wyczerpania. Był to — jak twierdzi Hoimar von Dittfurth — tak wielki kapitał, że człowiek mógł żyć tylko z odsetek od niego. Przyroda miała bowiem zdolność do samoregeneracji. Przyroda nie należała się przejmować. Na tonie przyrody można było odpoczywać. Przyszłością cywilizacji była technika, nauka — przemysł. Rolnictwo nie gwarantowało przyszłości. Życie na wsi było spokojne, ale prymitywne, na wsi była bieda i wyzysk, ale miasto wydawało się „ziemią obiecana”, rajem Ameryka — to był synonim wielkich nadziei i możliwości związanych z przemysłem, z techniką. A więc dylematem cywilizacji była pogoda za czołową, za tymi, którzy mieli surowce, maszyny, naukę na swoje usługi i ludzi skorych do pracy. Tylko uprzemysłowienie dawało gwarancję siły. Zatem kto nie budował fabryk — pozostawał w tyle, stawał się słaby.

Rosną przed I wojną światową nazywano „kołosem na glinianych nogach”. Gdy komuniści przejęli w Rosji władzę, zrozumieli, że mają tylko jedno wyjście — szybkie uprzemysłowienie. Polska przed wojną była krajem rolniczo-przemysłowym, do czego jeszcze dziś tu i ówdzie jakos trzaskają się wzdycha. Gdy po II wojnie światowej komuniści

przejęli władzę w Polsce mieli tylko jedno wyjście — szybkie uprzemysłowienie kraju, przekształcenie go z kraju rolniczo-przemysłowego w kraj przemysłowo-rolniczy. Co też się stało, choć koszt tego był wysoki. Ale trzeba też pamiętać, że działo się to w specyficznych warunkach, kiedy rozpadła się antyfaszystowska koalicja, świat podzielił się na dwa przeciwstawne obozy, przegrodził się „żelazną kurtyną” i wszedł w etap „zimnej wojny”, która w Korei przekształcała się w „gorącą wojnę”. W tych czasach liczył się tylko cel, choć ponosiły się koszty. A były one rzeczywiście wysokie.

Wysięg cywilizacyjny trwa i koszty nadal mało się liczą. Różne są motywy tego wysięgu.

się przyrodzie. Przyrodę uznaliśmy za środowisko naturalne człowieka. Jest to pogląd megalomański i antydialektyczny. Człowiek jest tylko i wyłącznie częścią przyrody, jej wytworem. W antydialektycznym poglądzie na środowisko pokutuje religijne widzenie świata. To przecież Bóg, gdy już stworzył człowieka, powiedział do niego: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napelniajcie ziemię: i czepicie ją sobie poddając: i panujcie nad rybami morskimi, i nad ptactwem niebieskim, i nad wszelkimi zwierzęmi, który się rucha na ziemi”.

Człowiek stał się panem wszelkiego stworzenia. To brzmi lepiej niż być częścią przyrody. Zaczął więc panować nad

Oceanu Lodowatego — gdzie przecież kształtuje się pogoda nie tylko na północnej półkuli. Zmiany kierunku rzek, to również konieczność zalania lasów, wsi, likwidacji wielu zabytków z minionych wieków, z historii Rosji. To poza tym konieczność rezygnacji z wielu przesiewów, które dokonano na północy, to wreszcie naruszenie równowagi, która kształtowała się setkami tysięcy lat. Odwrócenie biegu rzek ma przynieść korzyści południowej części ZSRR, ale stanie się to kosztem dewastacji północy. I te argumenty, wsparte również uczonych, przeważały. Projektu zawracania rzek zaniesiono. Zwyciężyło dialektyczne widzenie świata, jego wzajemnych,

jaką jest troska o ochronę środowiska naturalnego, do celów tak mało mających wspólnego z tą jednoczącą społeczeństwa i narody sprawą”.

Nikt nie kwestionuje, ani nie ma zamiaru ukrywać, że w Polsce sprawy ochrony przyrody zostały zaniedbane, że potrzeba teraz czasu na likwidację tych zaniedbań. Na ochronę przyrody przeznaczono 800 miliardów złotych, które mają — w pierwszym rzędzie — doprowadzić do stanów zgodnych z normą, gdyż teraz w wielu przypadkach normy są wysoko naruszone i przekraczane. Jedną z nich — jak twierdzą specjalistów — mieszkających w Polsce w strefach zagrożenia ekologicznego. Tych obszarów — jak utrzymuje Jan Bacewicz w artykule: „Rybnym głosem, ludziom opamiętanie”, drukowanym w 27 numerze „Przeglądu Tygodniowego” w 1986 roku — jest 27.

Gdzie są największe zagrożenia? Według przytoczonych przez Jana Bacewicza danych na 1 km kwadratowy opada rocznie pyłów i gazów: w Górnośląskim Okręgu Węglowym — 588 ton, w rejonie Turoszowa — 582 tony, w rejonie Bełchatowa — 525 ton, w rejonie Krakowa — 300 ton, w rejonie Płocka 467 ton, w Rybnickim Okręgu Węglowym — 247 ton. Przeciwnie dla tych 27 rejonów zagrożenia ekologicznego — 158 ton, a dla kraju — 22 tony. Najmniej w Olsztynie — 0,57 i na Suwalszczyźnie — 0,95 tony na km kwadratowy. Te dane wskazują, gdzie przede wszystkim należy podjąć działania ratujące przyrodę, czyli również i nas.

Ale problem naszej planety wcale się do tego nie ogranicza. To są nasze lokalne sprawy, które mają duże znaczenie dla czystości Bałtyku, Morza Czarnego, powietrza nad Polską i sąsiednimi krajami. Mają znaczenie dla naszego zdrowia. Ale w sprawach przyrody

PARTYKULARYZM JEST NIEBYWALE GROŹNY

Na początku XX wieku, gdy trwała pogoda za czołową światowej cywilizacji, a także po II wojnie światowej, można było uczcić dzieła, jak kochać przyrodę. Nie łam gałązek, nie deptaj trawników, nie łaz po drzewach... Dłż trzeba ułożyć nie tyle miłości do przyrody, ile miłości do siebie. Ale nie może to być miłość egoistyczna. Ona musi wynikać z przekonania, że człowiek jest tylko i wyłącznie częścią przyrody i wszystko, co robi przeciw przyrodzie, robi przeciw sobie. Niszcząc otaczającą nas przyrodę, zabijamy siebie.

Już w 1978 roku Lester R. Brown „przypomniał” — jak pisał cytowany już Hoimar von Dittfurth — że istnieją tylko cztery występujące naturalnie systemy biologiczne, które dostarczają nam nie tylko wszelkiego pożywienia, lecz także — z wyjątkiem produkowanych z ropy tworzyw sztucznych i surowców mineralnych — zapewniają surowce potrzebne przemysłowi”. Te systemy biologiczne mają też zdolność samoregeneracji.

Są to:

1. oceany i wody śródlądowe, które dostarczają ryb,
2. lasy, które dostarczają drzewa,
3. pastwiska, na których pasie się bydło,
4. gleby, które rodzą nam zboża, warzywa i owoce.

I otóż te cztery systemy biologiczne coraz silniej tracą zdolność samoregeneracji. W zatrutych wodach nie ma życia biologicznego, ale przykład Tamizy pokazuje, że można wody oczyścić. Lasy niszczą związki siarki, azotu i inne. W wielu krajach brakuje pasz. Gleba coraz trudniej rodzi bez wspomagania ją chemią.

Człowiekowi myślicielu partykularnie wydaje się, że jak coś wyleje do rzeki, to nie stanie się, jak trochę podłiny trującymi związkami, to rozpułynie się to w powietrzu i też nie stanie się. A to nie jest prawda. Z partykularyzmu bierze się chęć politycznego dyskontowania negatywnych zjawisk występujących w przyrodzie z winy człowieka. Partykularyzm nie pozwala widzieć zjawisk w ich dialektycznym powiązaniu, zależności i nie pozwala dostrzegać, że ilość ujemnych zjawisk rodzi nowe jakości zagrożenia. Nie ograniczają się one tylko do rejonów ekologicznie zagrożonych. One mają charakter globalny.

„Przy naszych narodzinach — pisze wspomniany już Hoimar von Dittfurth — Ziemia nada-

wała się do zamieszkania, ponieważ minione pokolenia utrzymywały się z odsetek, które stale przynosił kapitał, jakim była żywa natura. Jesteśmy pierwszym w historii pokoleniem, które nie trzyma się już tej zasady. Przeludnienie uniemożliwia nam następstwo w pełni z trwającej w naturalnym środowisku regeneracji. Zaczęliśmy atakować kapitał. Wydaje się, że nikt nie chce tego dostrzec, iż swoim działaniem niszczy źródła przyszłej produkcji, że naszym następcom ograniczamy w zasadniczy sposób ich możliwości przeżycia, że, jak to dramatycznie, lecz słusznie sformułował przed kilku laty pewien francuski biolog, „mordujemy własne umiły”.

Dążymy do tego, aby tylko człowiek panował nad tym światem, człowiek wyobcowany, nad pokonanym światem, gdzie nie będzie nic poza nim i tylko tym, co temu służy. Ale to absurdalny cel, który natychmiast przyniesie zagładę również człowiekowi. Monokultury bowiem wymagają specjalnej i nieustannej pielęgnacji. Monokultura ludzka też, a kto nią się będzie opiekował, gdy nie stanie przyrody z jej równowagą? Współczesne lasy giną w zaskarżającym tempie, gdyż są tworami sztucznymi, zasadzonymi przez człowieka na jego egoistyczne potrzeby. Puszczą nie ginęły. Lasy mieszane są odporniejsze na wszelkie przemysłowe zagrożenia. Drzewa liściaste bardziej odporne od iglastych. Lasami monokulturowymi musi szczególnie troskliwie opiekować się człowiek. Puszczą broniła się sama.

Zwiększyło się też tempo wymierania gatunków. Około 1900 roku co miesiąc wymierał jeden gatunek, w 1985 roku — codziennie ginie jeden gatunek. Jeśli to tempo się utrzyma, to w 2000 roku jeden gatunek zwierząt lub roślin ginąć będzie... co godzinę. Człowiek będzie mógł sobie pogratulować swojej wspaniałej działalności. Ludzkość w wysięgu do samobójczej śmierci wędruje w nowy szybszy etap. Ale wysięg ten można zatrzymać. Jest jeszcze czas i są możliwości. Potrzeba tylko połączenia wysiłków.

Nie wyklucza to w żadnym wypadku „polityki małych kroków”. Nie dokonano się zmian w stosunku do przyrody z dnia na dzień. Potrzeba na to czasu, potrzeba nie tylko pieniędzy, ale i możliwości wykonawczych przedsiębiorstw, a przede wszystkim przestrzegania prawa. Minister Stefan Jarzębski w wywiadzie dla „Trybuny Ludu”, powiedział między innymi:

„Zaden zakład produkcyjny nie może zostać oddany do użytku ani być eksploatowany bez urządzeń chroniących środowisko. Urządzenia takie powinny być przewidziane w projekcie”.

Takie wymagania powinny być bezwzględnie przestrzegane. „Oczywiście tak być powinno i być musi — powiedział Stefan Jarzębski. — W przeszłości nie stało się, tak często nie bywało”. Jeśli więc teraz tak będzie, to osiągnięte jest już duży postęp. Ludzkości się ciągle bowiem wydaje, że najłatwiej jest zaoszczędzić na... ochronie przyrody, nie chroniąc jej po prostu. Przyroda da sobie radę. Ale — jak już powiedziano — przyroda znalazła się w stanie krytycznym, a człowiek nie zawsze jest w stanie to zrozumieć.

Można też ostrzeżenia uczonych uznać za wynik ich nadwrażliwości, za rezultaty wybujałej wyobraźni. Niech sobie ugadają, niech piszą raporty, a my będziemy robili swoje, czyli niszczili przyrodę. Ale można też potraktować je poważnie, zastanowić się i zacząć działać. Gdyby tak jeszcze — zgodnie z radzieckimi propozycjami pokojowymi — powstrzymać się od wysięgu zbrojnego, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze przekazać na ochronę przyrody. Byłoby to bardzo pozytywne rozwiązanie. Wszystko jednak wskazuje, że — jak do tej pory — ludzie wolą deklarować miłość do środowiska i działać na swoją niekorzyść.

A więc pozostaje ciągle i uparte wyjaśnienie ludziom dlaczego i co źle robią. Niech stanie się to początkiem trudnej pracy prowadzącej w rezultacie do zmiany sposobu myślenia o przyrodzie. Innego wyjścia nie ma!

WITOLD BOROWY

Nie wystarczy kochać przyrodę

Jedni gonią za zyskiem, inni dają do tego, aby ludziom się lepiej żyło, a więc trzeba dla tego życia stworzyć dobre warunki. Zatem produkcja, produkcja i jeszcze raz produkcja. Im więcej, tym lepiej, choć powinno być i więcej i lepiej. A to grozi tak jednemu, jak i drugiemu nieobliczalnymi skutkami.

CZŁOWIEK — NAJWIĘKSZY PASOŻYT

Cytowany już Hoimar von Dittfurth powiedział, że jeśli pasożytem jest stworzenie, które żyje kosztem innych gatunków, to człowiek jest największym pasożytem w dziejach Ziemi. „Jako pasożyty występujące na całym globie, dzięki rozwijającej się tysiącletniej inteligencji, staliśmy się tak potężnym konkurentem, że zaczęliśmy podporządkowywać sobie Ziemię i wszystkie żywe organizmy. (...) Nasz sukces w walce gatunków jest nieporównywalny. Po raz pierwszy w historii świata jeden gatunek jest w stanie rozstrzygnąć ją na swoją korzyść. Zostaniemy jedynymi i nieodwołalnymi zwycięzcami”. Ale też zostaniemy sami i to będzie również nasz koniec. Nim to się stanie, wszystko, co stoi na drodze naszych biologicznych interesów uznaliśmy za szkodliki, pasożyty, robactwo i chwasty i „wszystko, co tylko wchodzi nam w parę, zwalczamy za pomocą wszelkich dostępnych dzięki nauce środków”.

Uznaliśmy siebie za panów tej planety. Przecistawiliśmy

przyrodę. Korzystał z jej bogactw, ale działo się to przeciw przyrodzie. Zaczął ją dewastować. Wtedy wpadł na kolejny szatański pomysł: zaczął domagać się ochrony swego środowiska przed samym sobą. Powinniśmy — w moim przekonaniu — powrócić do ochrony przyrody jako całości.

W przyrodzie musi panować równowaga. Kształtuje się ona tysiącami i milionami lat. Człowiek zadufany we własne siły postanowił opanować przyrodę. Chciał ją zmienić wedle własnych wyobrażeń. Ale każda zmiana rodzi też nowe skutki, często przez człowieka nie przewidziane. Rozsądni ludzie coraz częściej przestrzegają przed nieobliczalnym naruszeniem równowagi w przyrodzie, tego co kształtowało się setkami tysięcy lat, nie można zmieniać z roku na rok.

W Związku Radzieckim na przykład powstał plan odwrócenia biegu rzek, które toczą miliony metrów sześciennych wody na północ, podczas gdy na południu wody tej brakuje. Przeciwnie temu pomysłowi wystąpił w trakcie dyskusji przed XVII Zjazdem KPZR na łamach „Sowietskij Rossiji” pisał radziecki Wiktor Astafjew, Wasilij Bielew, Jurij Bondariew, Siergiej Zalizn, Leonid Leonow, Dmitrij Lichaczow i Walentin Rasputin. Uważają oni, że realizacja tego projektu może przynieść nieobliczalne szkody w skali nie tylko ZSRR, ale całej północnej półkuli. Nikt nie jest bowiem w stanie przewidzieć, jakie następstwa spowoduje zmniejszenie dopływu słodkiej wody do

nie zawsze nam jeszcze znanych powiązań.

Znajdują się ludzie, którzy próbują

NACIAGAC ARGUMENTY

i podporządkowywać fakty do swoich z góry założonych politycznych tez. Jest to demagogiczne, intelektualnie jałowe i niekiedy wprost żałosne. Wszystko, co ze środowiskiem dzieje się na wschód od Łaby jest złe, bezmyślne i tak dalej. Wszystko na zachód ma oczywiście zupełnie inny wymiar. 21 października 1986 roku na konferencji prasowej dla zagranicznych dziennikarzy prof. Stefan Jarzębski — minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych stwierdził:

„Fakt uwarunkowania naszego społeczeństwa na ochronę środowiska jest wykorzystywany do dyskredytacji niektórych naszych przedsięwzięć, wysiłków, osiągnięć, a także zamierzeń i planów. Trzeba przyznać, że robi się to z dużą umiędzielną, z dużą dozą i pozorami prawdy, na przykład cytując się wyrwane z kontekstu fragmenty jakiegoś oficjalnego dokumentu, jakiegoś artykułu polskiego uczono. Podaje się oceny odnoszące się do szczegółowej kwestii, jako oceny ogólne. Starannie pomija się bądź nie zauważa wszystkiego, co nie pasuje do scenariusza, do przyjętej konwencji”.

Musi, według mnie, przerażać fakt wykorzystywania



Foto: Grzegorz Gałusiński

Belchatów, aczkolwiek wymieniany w źródłach historycznych już w końcu XIV w., uzyskał po raz pierwszy prawa miejskie dopiero w 1737 r. Jednakże ze względu na niekorzystne położenie komunikacyjne, z dala od ważniejszych szlaków handlowych i większych ośrodków gospodarczych lub kulturalnych, miasto rozwijało się bardzo powoli, o czym świadczy choćby fakt, że w 1808 r. liczyło zaledwie 150 mieszkańców. Mimo posiadania statusu miasta Belchatów był faktycznie wsią.

Choć już w końcu XVIII wieku, gdy do Belchatowa napłynęło wielu osadników niemieckich, którzy zakładali tu warsztaty tkackie, mamy do czynienia z początkami przemysłu, to dopiero w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego następuje szybszy jego rozwój. Stworzone przez rząd ulgi i zachęty dla przedsiębiorczych jednostek oraz działalność Leona Kaczkowskiego, organizatora przemysłu włókienniczego, sprzyjały rozwojowi Belchatowa. Dobra koniunktura trwała do powstania listopadowego, po którym Rosja wprowadziła granicę celną z Królestwem Polskim. Otwarcie jej w 1850 r. nie przyczyniło się do aktywizacji miejscowego przemysłu podupadającego na skutek istnienia małych zakładów tkackich, które nie miały możliwości wykorzystania postępu technicznego. W 20 lat później, z powodu udziału właściciela miasta w powstaniu styczniowym, Belchatów utracił prawa miejskie. Odzyskał je znowu w 1925 roku.

W okresie międzywojennym następuje powolny rozwój miasta. Poprzez inkorporację podmiejskich wsi wzrasta liczba mieszkańców, która przed samym wybuchem II wojny światowej wynosi już ok. 9 tys. W Belchatowie funkcjonowało wówczas szereg drobnych fabryczek i zakładów pracy (cegielnia, młyn motorowy, tartak parowy, kilka farbiarni, garbarnia, olejarnia, młeczarnia i inne), w których znalazło zatrudnienie ponad 1000 robotników. W latach dwudziestych i trzydziestych rozwinęło się na szeroką skalę chałupnictwo dające zatrudnienie 2-3 tys. osób. Tradycja pracy chałupniczej utrzymała się jeszcze długo w okresie powojennym. Przedtem jednak właścicielami środków produkcji obrotu towarowego oraz usług byli z reguły Żydzi i Niemcy. Ich udział w strukturze mieszkańców okresu międzywojennego był nader wysoki. Wedle spisu powszechnego z 1931 r. na ogólną liczbę mieszkańców wynoszącą 8932 osoby, Polaków było 4139 (46,4 proc.), Żydów — 3979 (44,5 proc.), Niemców — 811 (9,0 proc.) oraz innych narodowości — 3 osoby (0,03 proc.).

Pod względem struktury klasowo-warstwowej najliczniejszą grupę stanowili robotnicy i chałupnicy, na drugim miejscu sytuowało się drobniomieszczaństwo składające się z kupców, rzemieślników, właścicieli domów itp. Do tej warstwy aspirowali niżsi urzędnicy, nauczyciele oraz zamożniejsi robotnicy. Elitę bogactwa i prestiżu oraz elitę towarzyską tworzyli właściciele fabryczek, warsztatów pracy, przedstawiciele wolnych zawodów oraz okoliczne ziemianstwo. Hierarchia społeczna miasta była zbliżona do tej, jaka występowała w typowym polskim mieście okresu międzywojennego. To, co wyróżniało Belchatów, to charakter klasy robotniczej, praktycznie jednolitej pod względem zawodowym i rozproszonej w drobnych zakładach wytwórczych, a także duży udział chałupników w strukturze zatrudnienia oraz drobniomieszczański charakter aspiracji i wartości społecznych.

Pod względem infrastruktury komunalnej i zabudowy miejskiej Belchatów należał do zaniedbanych, prowincjonalnych, zapadłych miasteczek polskich. Nie posiadał urządzeń kanalizacyjnych i wodociagowych, szlachejnej nawierzchni i oświetlenia ulic, komunikacji z szerszym światem, wielokrotnie głośnie budownictwa mieszkaniowego i komunalnego. Domy w większości były parterowe, małe, drewniane kryte papą, bez wykładu sanitarnych. Tak wyglądało miasto jeszcze w latach sześćdziesiątych naszego wieku. W czasie drugiej wojny światowej w gruzach znalazło się centrum miasta, 40 proc. zabudowy uległo zniszczeniu i — co ważniejsze — poważnie ucierpiało również ludność. Przede wszystkim Niemcy poddali eksterminacji ludność żydowską. Po zakończeniu wojny



Belchatów przed wielką budową

PIOTR TOBERA

zniknęła również ludność niemiecka. W rezultacie po wywołaniu Belchatów liczy zaledwie 4780 mieszkańców. Następuje ustanowienie nowego porządku społeczno-politycznego, usuwanie zniszczeń, normalizacja życia mieszkańców. W samym rozwoju miasta zachodzą jednak tylko niewielkie zmiany.

W 1956 r. Belchatów awansuje do rangi stolicy powiatu. Od tego czasu aktywizuje się i rozwija. Powstaje szereg nowych instytucji administracyjnych, handlowych, oświatowych, kulturalnych, medycznych itp. Pojawia się budownictwo osiedlowe o charakterze wielkomiejskim. Z inicjatywy miejscowych działaczy wyrastają nowoczesne zakłady przemysłu bawełnianego z nową tkalnią i wykończalnią zatrudniające ponad 2000 pracowników. Awans administracyjny i przemysłowy stał się istotnym czynnikiem miastofortycznym.

Do miasta zaczęli napływać ludzie bardziej wykwalifikowani i wykształceni. Ci przybyli z innych miast zajęli kluczowe stanowiska w Belchatowie, tworząc nową elitę miasta. W większości zamieszkali w nowo wybudowanych blokach, będących ówczesnym symbolem nowoczesności miasta i prestiżu osiedlonych w nich mieszkańców. Odnosić warto, że w tym okresie wybudowano gmach dla liceum ogólnokształcącego, salę kinową, powstała Zasadnicza Szkoła Włókiennicza, Zasadnicza Szkoła Rzemiosł Budowlanych, powiatowa biblioteka publiczna, świetlica itp.

Na kilku ulicach utwardzono nawierzchnię, założono nowe oświetlenie, urządzono parki, skwery, poprowadzono elewacje wielu domów i uporządkowano otoczenie. Nastąpiła widoczna poprawa estetyki miasta.

Zapoczątkowany proces unowocześniania miasta na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nie był kontynuowany. Wystąpiły trudności na lokalnym rynku pracy, w budownictwie mieszkaniowym, w zaopatrzeniu i usługach. I chociaż wśród czynnych zawodowo mieszkańców 45,5 proc. utrzymywało się z pracy w przemyśle, a wraz z członkami rodzin 60,9 proc., to jednak poziom wykształcenia ludności pracującej Belchatowa był wówczas niski. Świadczy o tym wysoki odsetek osób z wykształceniem podstawowym nie ukończonym (47,6 proc.) oraz samouków i analfabetów (6,0 proc.). Wśród całej ludności te kategorie wykształcenia reprezentowane były przez 57,1 proc. mieszkańców. Wskaźnik ten najlepiej charakteryzuje kultural-

ne możliwości ludności miasta w owym czasie.

Belchatów lat sześćdziesiątych — to miasteczko o wybitnie jednostronnym charakterze zatrudnienia. Dominacja jednego dużego zakładu przemysłu lekkiego, dostrzegana również w pejzażu miasta, wyraźnie zaciążyła na strukturze kwalifikacji i wykształcenia oraz na poziomie życia mieszkańców, gdyż przemysł bawełniany nigdy nie należał do dobrze opłacanej branży w naszym kraju.

Ze względu na dominację jednego zakładu pracy — jak słusznie zauważył Zdzisław Iwanicki — miasto bardziej przypominało osadę fabryczną niż wielofunkcyjny organizm miejski. Jego zdaniem, wysokiemu poziomowi uprzemysłowienia miasta nie odpowiadał również wysoki poziom jego zurbanizowania. Również Antonina Kłosowska sytuuje ówczesny Belchatów raczej bliżej bieżącej tradycji społeczno-kulturalnej niż bieżącej tradycji społeczno-kulturalnej.

„Rozpatrywana z socjologicznego punktu widzenia społeczność lokalna, która stanowiła dane miasto, przedstawia typ przejściowy między bieżącą tradycją społeczną i typologicznymi tradycjami ludową społeczeństwa z zindustrializowanym i zurbanizowanym wielkim społeczeństwem. Posiada ona pewne cechy tradycyjnej ludowej społeczności. Jednocześnie stanowi element globalnego społeczeństwa o charakterze zurbanizowanym, o rozwiniętej, nowoczesnej technice produkcji i technice oraz or-

ganizacji przekazywania kultury”.

Wolne tempo rozwoju, w porównaniu z potrzebą usunięcia nawarstwionych latami zaniedbań i w zderzeniu z wyższymi aspiracjami oraz przystaniem demograficznym, oznaczało stagnację. Zmuszało to wielu belchatowian do poszukiwania pracy w bardziej dynamicznych ośrodkach miejskich byłego województwa łódzkiego lub na Śląsku. Emigrowali głównie ludzie z wyższymi kwalifikacjami i „wyższym” poziomem kulturalnym. Z reguły dawni przybysze oraz młodzież wykształcona w tutejszych szkołach lub kończąca naukę w innych miejscowościach. Belchatów nie mógł im zaoferować stanowisk pracy, był dla nich za ciasny, małomiasteczkowy, prowincjonalny, bez perspektyw na przyszłość.

O warunkach mieszkaniowych belchatowian świadczą następujące dane: w latach sześćdziesiątych na ogólną liczbę 2042 mieszkania jednoizbowe stanowiły 22,5 proc., dwuizbowe — 47,8 proc., trzyizbowe — 24,0 proc., czterozbowe i większe — 6,7 proc.; na jedną izbę przypadało 1,68 osoby. Ich standard przedstawia poniższe zestawienie dotyczące wyposażenia mieszkań w urządzenia techniczno-sanitarne (w procentach ogólnej liczby mieszkań): elektryczność 85,7, wodociąg 4,9, zlew 6,8, łazienka 4,9, centralne ogrzewanie 3,0.

Do 1960 r. Belchatów nie miał sieci wodociagowo-kanalizacyjnej. Dopiero wybudowanie kilku nowych bloków przy ulicy 1 Maja poprawiło nieco sytuację. W 1965 r. długość sieci wodociagowej w mieście wynosiła zaledwie 1,4 km.

Na poziom życia mieszkańców Belchatowa, oprócz zarob-

ków, które były determinowane zatrudnieniem w przemyśle włókienniczym znanym z niskich przeciętnych płac, sytuacji mieszkaniowej przedstawionej wyżej, znaczny wpływ miały zakres i jakość świadczonych usług. Cytowany już Z. Iwanicki obliczył, że odsetek mieszkańców zatrudnionych w usługach w Belchatowie był o połowę niższy od średniej zatrudnienia w usługach dla miast tej samej wielkości w Polsce. Niedorozwój usług zmuszał ludność do częstych wyjazdów do Piotrkowa, Pabianic i Łodzi w celu dokonania zakupów, naprawy sprzętu i realizacji innych usług. Jeszcze w latach siedemdziesiątych nie było w Belchatowie szpitala i rozwiniętej służby zdrowia.

Ta sytuacja miasta jest w pewnym zakresie pochodną poziomu rozwoju jego bezpośredniego otoczenia. Miasta bowiem rozwijają się nie tylko pod wpływem wewnętrznych sił tkwiących w organizmie miejskim, ale także pod przemożnym wpływem zewnętrznego środowiska, z którym pozostają w stosunkach wzajemnej wymiany. W poważnym stopniu obraz miasta jest ukształtowany najbliższym otoczeniem. I odwrotnie, miasto ma silny wpływ na swoje bliższe i dalsze otoczenie.

Jak więc można scharakteryzować region belchatowski? Krótko mówiąc, należał on do obszarów słabo zurbanizowanych i uprzemysłowionych, a ponadto cechował się niskim poziomem rozwoju rolnictwa. Duże rozdrobnienie gospodarstw chłopskich, słabe gleby, tradycyjne, tzn. nienowoczesne metody uprawy ziemi i hodowli czyniły z niej w rolnictwie mało opłacalną. Nie sprzyja-

jące warunki gospodarowania w rolnictwie wywoływały ruchy emigracyjne do bardziej zaawansowanych ekonomicznie regionów Polski. Stąd przeciętne zatrudnienie w Belchatowskim było dwa razy niższe niż w całym kraju. Ci, którzy pozostawali w gospodarstwach rolniczych, żyli przeważnie w niedostatku. Alternatywą było albo całkowite zerwanie z dotychczasowym zajęciem rolniczym i ucieczka do miasta, albo połączenie pracy w gospodarstwie z pracą poza rolnictwem.

Z taką sytuacją społeczno-gospodarczą regionu belchatowskiego mamy do czynienia w momencie podjęcia decyzji w połowie lat siedemdziesiątych o budowie wielkiej kopalni węgla brunatnego i wielkiej elektrowni. Cały region staje w obliczu gwałtownych i wielostronnych przeobrażeń. Szybkie tempo budowy i wielka skala inwestycji rodzą poważne trudności z zaspokojeniem podstawowych potrzeb bytowych mieszkańców, zarówno belchatowian, jak i przybyszów napływających masowo z różnych stron Polski, liczących na szybką poprawę warunków mieszkaniowych i placowych. W ciągu zaledwie pięciu lat liczba mieszkańców podwaja się. Niedorozwój miasta ujawnia się w całej jaskrawości. Brak jest dostatecznej liczby sklepów, magazynów, zakładów przemysłu spożywczego. Podstawowe artykuły, jak chleb i wyroby mięsne, trzeba sprowadzać niekiedy z odległych miast. Plany budownictwa mieszkaniowego nie są w pełni realizowane. Z drugiej strony szybko wzrastają płace.

Uciążliwe warunki życia w mieście są nie tylko rezultatem przestarzałości infrastruktury miejskiej i niedostosowania jej do nowych potrzeb, ale i tego fenomenu, że skala inwestycji głównych nie tworzy odpowiedniej skali modernizacji miasta. Popelniane są więc stare błędy w polityce kształtowania nowych ośrodków przemysłowych. Sprawdzają się one do tego, że tempo zaspokojenia potrzeb społecznych pozostaje w tyle za tempem rozwoju przemysłu, za ekstenzywnym jego wzrostem. Wnioski z poprzednich doświadczeń nie są przesłanką dla nowych, bardziej kompleksowych, decyzji. Podobnie więc jak w innych regionach uprzemysławianych, również w Belchatowie budownictwo mieszkaniowe nie nadąża za napływem budowniczych inwestycji, zaś osiedla mieszkaniowe są oddawane bez niezbędnych udogodnień dla ich mieszkańców. Drogi dojazdowe, sklepy, punkty usługowe, szkoły, przedszkola, żłobki, instytucje kulturalne są traktowane przez inwestorów i wykonawców jako budowy drugorzędne i dopiero nacisk ludności wprowadza większą równowagę w procesie realizacji różnych inwestycji.

Środki masowego przekazu stale informują opinię publiczną o zaawansowaniu frontu robot inwestycyjnych przemysłowych, o przyczynach hamujących ich realizację. Wiele miejscowości sięga się sprawom czysto technicznym. O koparkach Kruppa wiemy niemal wszystko. Te dinozaury współczesnej techniki, mogące przemieszczać tysiące metrów sześciennych ziemi na dobę, mają wzbudzać podziw i dumę z tego, że oto mamy najnowszą i najwydajniejszą, superdrogę maszyn. Ale środki przekazu, będące kanałami informacji „z góry w dół” nie wywierają tak silnej presji na terminowe ukończenie inwestycji socjalnych i towarzyszących, na spełnienie potrzeb społecznych. Taki stan rzeczy wpływa na „poślizg” inwestycji głównych. Albowiem pracownik zmuszony do wyrzeczeń osobistych z powodu błędów popełnianych w planowaniu rozwoju miasta nie jest na ogół w stanie rygorystycznie respektować dyscypliny pracy i reżimu technologicznego. Tym bardziej, jeśli widzi, że zamiast supersamu spożywczego buduje się w mieście centrum rozrywkowe.

Podsumowując należy stwierdzić, że skala realizowanych inwestycji górniczo-energetycznych jest nieadekwatna do wielkości środków przeznaczonych na potrzeby świata pracy regionu belchatowskiego i, jak się wydaje, do potrzeb ochrony środowiska przyrodniczego, które zresztą ściśle się łączą z poprzednimi potrzebami.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Zaprosił pan naszą redakcję na swój jubileusz — dziękujemy, gratulujemy, najlepsze życzenia! W zaproszeniu na swoje czterdzieste urodziny pan: „Jako Prezydent (po kryjomu) Niezależnej (od TPL, PTTK itp. itd.) Republiki Miłośników Łodzi i Województwa...” Czy w związku z tym mam zwracać się do pana „Wasza Ekscelencjo”?

— Nie, „Ekscelencjo” to może do króla...
— Wystarczy skromnie, „Panie Prezydencie”?

— Wie pan, nie wszyscy mają poczucie humoru, może darujemy sobie tytuł? A jubileusz? Ja nazywam ten wieczór, czwarty już, bo obchodzę jubileusz co pięć lat, wieczorem łódzkim. Nie był zbyt serio, a za to stanowił równie okazję do zgłoszenia interpelacji do prawnego prezydenta, to jest wiceprezydenta Stanisława Zająbnego, o nadanie jednej z łódzkich ulic imienia Wacława Kondka. Należy mu się to za pejzaże łódzkie i nie tylko za nie.

— O ulice łódzkie chce jeszcze pana poprosić, pozostawmy przy zaproszeniu: „niezależny od Towarzystwa Przyjaciół Łodzi...”. Czy to znaczy, że Pan Prezydent Zdzisław Konicki nie bardzo lubi TPL? Bo takie słuchy po mieście chodzą...

— Jestem jednym z inicjatorów, organizatorów, założycieli TPL, sekretarzem, kierownikiem różnych sekcji i przez 22 lata członkiem zarządu. W 1981 roku przestałem się tam udzielać z różnych względów. Głównie dlatego, że ten zarząd się zestarzał. Trzeba z młodymi... a tam jest towarzystwo... troszeczkę wiekowe, sami emeryci. Kosztuje to, nie ma polotu, nie ma fantazji, wszyscy się wciąż o coś obrażają.

— Przejdźmy do ulic. Wspomniał pan, że nie ma w Łodzi ulicy Kondka. Można, ot tak, z głowy przypomnieć nazwiska, którymi winniśmy nazwać łódzkie ulice: ucznia, który zginął w alicy Kościuszki w czasie rozbrajania Prusa-



Portret Zdzisława Konickiego — Łódzianina (1986 r.) mal. i foto — art. pl. Jarosław Zduniewski.

zgadza, ale bardzo znakomite postacie jak: Kościuszko, Mickiewicz czy Skłodowska-Curie mają na tych tablicach krótsze teksty?

— Cóż, polska tytułowania...

— Jeszcze jedno. Gdzie — oczyma duszy — chciałby pan zobaczyć tę tablicę? Z naszej rozmowy dotąd wynika, że jednak nie na Piotrkowskiej. Węć gdzie? Na Hutora?

— Jeśli już tak się bawimy, to myślę sobie, że na mojej Karpackiej. Mieszkam tu już dwa-

Kochanek „panny Piotrkowskiej”

ków — Linkego, zasłużonego dla łódzkiej oświaty prezydenta Aleksandra Rzewskiego...

— Jeśli idzie o Linkę — jestem za. Natomiast, co do Rzewskiego, to jest to cienka sprawa. To był socjalista, nieustraszonego wojownika w 1905. Ale pod koniec życia zmienił poglądy, zszedł na pozycję klerikałne.

— Ale to było tak dawno. Do historii przetrwał Rzewski jako ten prezydent miasta, który wprowadził — pierwszy w Polsce! — powszechny obowiązek szkolny.

— Nie tylko on! Nie można zapominać o roli Stefana Kocińskiego. Kociński ma ulicę w Łodzi, i to okazałą, ale powinien mieć pomnik. Takie projekty były już przed wojną.

— Nadal pozostawmy przy ulicach. Napisał pan kiedyś, że pańską ulicą w Łodzi jest ulica Czesława Hutora.

— Tak, mimo iż przy niej już dawno nie mieszkam, to nadal jest to moja ulica. Ulica mojej młodości. A czy wie pan, że łódzianie nazywali ją kiedyś „Łojza”? Wzięło się to stąd, że w czasie pierwszej okupacji Niemcy nazwali ją Luisenstrasse, co dla autochtonów było trochę trudne do wymówienia.

— Najbardziej łódzką ulicą dla łódzian i nie tylko dla łódzian jest Piotrkowska. Jaki jest pana stosunek do tej naszej reprezentacyjnej i reprezentatywnej ulicy?

— Najlepiej charakteryzuje ten stosunek fakt, że to ja ją nazywałem „panną Piotrkowską”. To się przyjęło i weszło do literatury. To taka ukochana ulica, że musiała mieć własną legendę. A nie miała. Wzięła ją ta legenda wymyśliłem i zamieściłem w książce „Dziwy nad Łódką”. Był taki złośniwy Krakauer, Sztaudynger, który napisał „jest największą łódzianką troską zmieścić wszystko na Piotrkowską”.

— Ale o swoim rodzinnym mieście też pisał złośniwie, jak choćby: „Golebiąmi brukowany Kraków gówno ma z tych ptaków”.

— Mogę przypomnieć inną, złośniwą fraszkę łódzkiego Mistrza Jana. Zamieszczoną zresztą w „Odgłosach”, kiedy Jan Huszcza pojechał do Paryża. Fraszka brzmiała: „I w Paryżu z Huszczy ryżu nie wyluszczy”. Nie wiem do dziś, kto był bardziej złośniwy — Sztaudynger, czy redakcja?

Od lat walczę o uznanie całej Piotrkowskiej za zabytek. Bo uznano ją za zabytkową tylko do al. Mickiewicza. A leżąc zabytkowych obiektów mieści się na tym południowym odcinku: Biała Fabryka, Geyera, fabryka Zilbersteina (dziś Olimpia), katedra, Grób Nieznanego Żołnierza i wiele innych. U nas jest jakiś minimalizm dzwiny. A trzeba wreszcie zacząć coś robić w tym mieście: powinien powstać jakiś komitet rewolucyjny. Piotrkowska to synna ulica, opisana w wielu powieściach, nie tylko polskich. Nie wolno jej zmienić nazwy i nie wolno jej sztucznie i bez wyczucia stylu uzupełniać plombowcami, które do niej zupełnie nie pasują.

— Nadal mówimy o ulicach. Na pana jubileusz widziałem przygotowaną już tablicę z nazwą ulicy: „Zdzisława Konickiego, 1925-2050, działacza społeczny, publicysta, przewodnik i regionalista łódzki. Kolekcjoner”. Wszystko się

Rozmawiał:
ANDRZEJ KAROLCZAK

Epitafium dla Łazarza

JOLANTA WRÓŃSKA

1.

Żyć pocziwie, nie sprzeciwiać się prawom boskim i ludzkim. Pódt dzieci po bożemu i pilnie pracuj na chwałę maluczką zapobiegliwości i niedużego szczęścia doczesnego.

Zostanie po tobie, porządnym obywatelu dobra pamięć u potomnych poparta zniczem w dzień Wszystkich Świętych. Czasem zostanie po porządnym obywatelu majątek, o który będą się mogli pokłócić krewniacy, albo na przykład sława lub szereg państwowych i resortowych odznaczeń. W ostatnią drogę odprowadzi porządnego obywatela nieutulona w żalu rodzina, czasem orkiestra i wysokie czynniki.

Po człowieku mogą zostać najprzeróżniejsze rzeczy. Wspomnienia, czyny wielkie, dzieła wybitne. Albo może też zostać parę zniszczonych gratów, których nikt nawet nie zechce, może jakiś osierocony pies lub kot, czasem parę czytanych na śmierć w kółko tych samych książek. I ulga. Tych, co zostali wśród żywych i nawet nie chcą pamiętać, że jakiś człowiek był, żył i teraz go nie ma.

Tak dzieje się wówczas, kiedy nie ma potrzeby wolać strażackiej orkiestry ani zamawiać wieńców. Umarł Łazarz. Obywatel zbędny, nikomu niepotrzebny, a w dodatku okropnie kłopotliwy.

Taka na przykład Ewelina Z. Zastrane miała życie i zasraną będzie miała pogrzeb. I to jest prawidłowo, jak bowiem powiada urzędnik z pomocy społecznej, Ewelina Z. była obywatelką przysparzającą troski osobnym organom, a pożytku z niej nie było absolutnie żadnego. Jaki może być pożytek z człowieka, który nie zostawił po sobie nic, prócz stosu łachmanów, baterii butelek po piwie. Nawet żadnego legalnego dziecka nie posiadał.

Dlatego też pod koniec poprzedniego komunizmu, kiedyś, pracownicy bez ceregieli wzięli za ramiona i nogi wychudzone ciało wyglądające jak tłumaczek leżące na brzegu stołu, i wrzuciło do jakieś trumny z funduszy komunalnych. W pospiechu, bo kto lubi taki ładunek, popędzą na cmentarz, gdzie w kwaterze „na koszt państwa” wrzucią trumnę do uszykowanego dołu. Zasyją, przyklepią łopatą i tyle. Jeszcze jeden bezimienny kopczyk z numerem zarejestrowanym w księgach cmentarza. Być może zresztą jakiś pocziwa dusza w dziele socjalnym zamyślił się chwilę nad głupim życiem i opłaci koszty tabliczki z imieniem i nazwiskiem na grób. Bo może kiedyś ktoś będzie szukał. Złudzenie. Nikt szukać nie będzie, bo kto i po co? Umarł niedzisz i jego pamięć nikomu nie jest potrzebna.

2.

Ewelina Z. żyła w czasie przeszłym. Mówiła, że jest stara, jak prababka faraonów, choć ledwie przekroczyła pięćdziesiątkę. I mówiła, że urodziła się przez pomyłkę w całkiem nie tym świecie co trzeba. Powiedziała kiedyś, że jej dzieciństwo trwało całych siedem lat. Potem były już tylko starcze rozmyślenia.

A z całego dzieciństwa najpiękniejszy był śliwowy sad za domem, w którym można było być obżerać soczystymi węgierkami w towarzystwie małego Szmula, syna dużego Szmula z sąsiedztwa. I były jeszcze ukochane bajki opowiadane przez matkę. Tylko dzięki bajkom można było na chwilę przestać się bać mężczyzn w mundurach feldgrau i zapomnieć o rodzinie Mirskich, rozerwanych przez bombę, co uderzyła w ich dom, zaraz na początku wojny.

Koniec dzieciństwa przyszedł wtedy, kiedy w zimową noc w okienkach zapukał duży Szmul i prosił mamę, żeby schowała małego Szmula, bo rano będzie wywózka. Mały Szmul stał cicho obok ojca i patrzył na Ewelinę. A mama kazała dużemu Szmulowi wyjść, bo ona nie może narażać swoich

dzieci. Rano przez szparę w okienkach zobaczyła Ewelina, jak wyganiano rodzinę dużego Szmula. Tego dnia skończyła siedem lat życia, a uciekający w opłotki mały Szmul rozkrzyżował się na śniegu z czerwona plamą wokół głowy.

Na resztę czasu, który ludzie nazywają życiem została najukochańsza bajka o trzech siostrach.

Za górami, za lasami w pięknej krainie żyły trzy siostry. Najstarsza, kruczowłosa, szanowała ludzi, bo umiała piec najpyszniejsze na świecie ciasta, torty i oreczki. Tę drugą, miedziawłosą lubili ludzie, bo potrafiła tkąć najbarwniejsze na świecie dywany i kobierce. A ta trzecia siostra, najmłodsza, złotowłosa iątka nie potrafiła robić nic pożytecznego. Ani piec, ani tkąć. A ją jedną spośród siostrzyczek kochali. Bo umiała opowiadać najpiękniejsze bajki na świecie. O cudnych królowiach i szlachetnych, nie znających lęku rycerzach. O strasznych wiedźmach i mądrych czarownikach. W bajkach zawsze zwyciężała prawda i dobro, a miłość była wieczna, wielka i prawdziwa, a przyjaźń najwspanialsza z wie-nych.

Ona tę bajkę opowiadała bez przerwy. Sąsiadka stoi z założonymi rękami pośród zagraconego, brudnego pokoju. To ona znalazła Ewelinę. Od lat zamykowała ręce nad bezsensownym życiem Eweliny. Czasem podzuciła jej zakupy, albo zabrała rano po meczającej nocy, kiedy Ewelina miała swoją godzinę czarownic. Tak to nazywała. Krzyczała wtedy, że kazano jej żyć z przetrąconym kręgosłupem, bez rąk i nóg, bez wiary. Miotła się po swojej rupieciarni z pustymi oczkami, w których nie było nawet strachu. Sąsiadka pamiętała jedną taką noc, kiedy Ewelina charczała zdartym głosem, że samemu Bogu wybiłaby zęby, samą śmierć zamordowała, gdyby w ten sposób mogła uwierzyć, że życie to jest życie, miłość to miłość.

Dziwna była ta Ewelina. Żyła od zaskiku do zaskiku. Od dorywczej pracy do zbierania butelek po śmietnikach. Objętynie ocierała twarz, kiedy pluła na nią porządni obywatele. Śmierdziała im. Tylko wszystkie bezdomne, głodne zwierzęta ignęły do niej. Zbiegały się z całego miasta. Wszystkie przetrącone gołębie wiedziały, że u niej zawsze jest pełny karmnik. I dzieci ją lubiły. Opowiadała im bajki, dawała cukierki. Dziwne, dzieci miały respekt przed Ewelina. Zawsze grzecznie pozdro- wili, zawsze ktoś poleciał do sklepu, kiedy prosiła.

3.

Kiedy tamtego rana sąsiadka weszła do nory Eweliny, nie jej nie tknęło, nie przeczuła. Zobaczyła leżącą postać w brudnym barlogu i rząd butelek po piwie koło łózka i przepelnioną popielniczkę. Jak zwykle. Niech śpi, pomyślała. Dopiero w południe niespokojnie otworzyła drzwi. Ewelina umarła. Była już zimna. Skonała w śmietniku. Tak powiedziała sąsiadka. Całkiem nie jak człowiek. Leżała w tym swoim brudzie, a koło głowy, przysłonięta trochę włosami leżała „Blokada”. Ona tę książkę czytała bez końca, zawsze ją miała pod ręką. Ewelina potrafiła godzinami opowiadać dzieciom o blokadzie Leningradu, o ludziach umierających z zimna i głodu. Opowiadała o małej Tani i jej pamiętniku. I zawsze wtedy płakała, choć od wojny miała na chleb, piwo i na papierosy.

Wśród pozostałych po Ewelinie śmieci, które trzeba uprzątnąć zanim do mieszkan- ka wprowadzi się córka sąsiadki z dwójkiem dzieci i mężem formalnie obecnym a nieformalnie żyjącym z kobietą z sąsiedniej ulicy, wśród przerażającego stosu brudnej bielizny, łachów z opieki społecznej, gazet, była szara koperta. Gruba, przewiązana sznurkiem, starannie zaklejona.

W kopercie były listy. Pisane przez całe życie do narzeczonego, który porzucił Ewelinę przed dwudziestu pięciu laty.

Delikatne słowa starannie dobierane, żeby nie spłoszyć małutkiego ogniska. Ani słowa wyrzutu, ani trochę żalu. Wszystkie listy starannie pokładane w koperty opatrzone adresem wykaligrafowanym drukowanymi literami, z naklejonymi znaczkami. Otwarte koperty z datami zaczynały się gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych. Nigdy nie wysłane dokumenty życia, którego nie było, nie przeżyte, nie doznane nic.

I jeszcze były zdjęcia. Stare zdjęcia z jakiegoś amatorskiego spektaklu teatralnego. Na zdjęciach jest Ewelina. Wysoka smukła kobieta o po- ciąglej twarzy i delikatnych dłoniach z krótko obciętymi paznokciami. Subtelna twarz z jasnym czołem okolonym gładko uczesanymi włosami związanymi w węzeł na karku. Wązłutki, prosty nos, zdecydowane łuki brwi, delikatne usta z goryczą zamkniętą w kąciuku.

4.

Kiedy przyjechali po Ewelina do kosciny, na stole leżał nieduży łachman. Jakby skurczony w sobie. Wychudzone ciało zdawało się nie nie ważyć. Zylaste dłonie spoczywały beładnie wzdłuż ciała. Tylko gęste, siwe włosy tak samo były związane w węzeł na karku. Sąsiadka u- brała i uczesała Ewelinę, żeby choć tyle miała z porządnego pogrzebu. Na poornej zmarszczkami twarzy pięćdziesięcioletniej kobiety był spokój. Tak mówi sąsiadka. I mówi, że chyba pierwszy raz ta twarz była spokojna, nie skurczona rozpaczą.

Spomiedzy zdjęć ze starego spektaklu amatorskiego wypadła płaska paczuszka oklejona starannie gazetą. W środku był dyplom. Ze Ewelina Z. ukończyła z wynikiem celującym fakultet filozoficzny na Wrocławskim Uniwersytecie. Dwadzieścia dziewięć lat temu.

5.

Jak ona potrafiła kłamać. Pani z Czerwonego Krzyża aż wznosi oczy do góry. Ewelina Z. była jej zdaniem największym kłamczuchem. Och, mówi potrafiła jak nikt inny. Ładnym językiem mówiła Ewelina o swej tragedii, o pustym życiu, o braku wszelkich sił do pracy. Jak umiała opowiedzieć swoje wymyslane życie. Bo ona sobie wymyśliła całe życie. Ze rodzina zginęła na wojnie, że wychowywała ją ciotka i posłała do szkół, że nawet uczyła się na Uniwersytecie i miała duży talent.

Któż by wierzył w te bajki. Kto uwierzy niedziszce przychodzącej prosić o zasiłek, albo za parę groszy dogladającej podopiecznych z PCK. Kto uwierzy w legendę patrząc na trzęsące się ręce, pororaną, zniszczoną twarz i kupę byle jakich łachmanów na grzbiecie? Kulturalny człowiek po uniwersytecie ma stanowisko, pozycję, rodzinę. Pani z PCK usmiecha się z poczuciem znajomości rzeczy prezentując dwa złote zęby od lewej. Pani ma dużo pierścionków na grubych palcach i zna Ewelina Z. od wielu lat. I nie ma żadnych złudzeń.

6.

Sąsiadce żal jest Eweliny. Wstrząsnęła nią odkrycie nędzy nie pokazwanej grubej koperty. Tyle lat żyła przez ściągając z Ewelina. Przywykła do jej szaleństwa, nawet ją jakoś lubiła. Często powtarzała, że tak nie można pani Ewelino, trzeba uprzątnąć mieszkanie, uprać pościel, zająć się czymś pożytecznym. Nie można tak marnować sobie życia. I zawsze słyszała tę samą odpowiedź: A czy pani potrafi mi powiedzieć co to jest życie? I sąsiadka milczała, bo jak odpowiedzieć na takie oczywiste pytanie.

W szkole, ze szkołą i wokół szkoły dzieje się w ostatnich latach źle i coraz gorzej — na parcie tej tezy znajdują się wiele przykładów, podać je może każdy dorosły człowiek — zarówno ten, który dopiero co własną edukację zakończył, jak i ten, który ze szkołą ma kontakt jedynie za pośrednictwem wnuków. Wiele na ten temat powiedzieć mogą również ludzie „z urzędu” za stan szkolnictwa i kondycję szkoły odpowiedział.

Sytuacja ta — a ściślej dążenie do jej poprawy w możliwie krótkim czasie — była jedną z przesłanek utworzenia Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Do jego realizacji włączyło się od razu wiele organizacji, instytucji i osób fizycznych, podejmując przedsięwzięcia rozmaitej natury — od

śledzimy na 93 kobiety. Natomiast w szkolnictwie zawodowym panuje lepsza sytuacja: panie i panowie pojawiają się w klasach niemal równie często.

Najliczniejszą grupę nauczycieli stanowią — co wydaje się korzystne — ludzie w sile wieku, już w pełni dojrzał i dysponujący sporą praktyką zawodową, a jeszcze nie starzy, od 31 do 50 lat (68,3 proc. badanych).

Większość z nich pod względem kwalifikacji formalnych jest dobrze przygotowana do wykonywania zawodu — ponad 70 proc. nauczycieli legitymuje się dyplomem wyższej uczelni (w tym zaledwie co dziesiąty wśród badanych jest absolwentem uczelni pedagogicznej), 18,3 proc. posiada niepełne wyższe wykształcenie lub dyplom SN, zaledwie 3,4 proc. to nauczyciele z wykształceniem średnim. Proporcje te w niedługim

innym, czyli po prostu wiadza. Fakt, że władza nauczyciela nad uczniem w szkole jest ogromna, wielu ludziom może dawać satysfakcję, równoważącą te cechy pracy, które uznają za negatywne.

Obok tych cech wśród innych, zdaniem respondentów, pozytywnie charakteryzujących zawód wymienia się: możliwość przedłużenia własnej młodości dzięki kontaktom z młodzieżą, poczucie użyteczności, twórczy charakter pracy.

Natomiast ze strony zawodu — to jej nerwowość i odpowiedzialny charakter, niski prestiż zawodu, ale przede wszystkim — za niskie płace.

UBODZY LECZ GOSPODARNI?

Na złe płace narzekają wszyscy badani nauczyciele. Uwa-

żają oni, że ich wynagrodzenie jest zbyt niskie w stosunku do kosztów utrzymania, wiedzy i umiejętności, jakich wymaga praca, wysiłku w nią wkładanego, posiadanego wykształcenia. Zdecydowana większość twierdzi, że płace nauczycieli są niedostateczne w porównaniu z płacami ich znajomych spoza szkoły, spora grupa wyraża pogląd, że zarabiała za mało w porównaniu z własnymi kolegami-nauczycielami.

Ogólne wynagrodzenie uzyskiwane za pracę odbierane jest jako niesprawiedliwie niskie. Niesprawiedliwie niskie są, zdaniem nauczycieli, także dochody niektórych innych grup ludności: pracowników biurowych, specjalistów z wyższym wykształceniem, emerytów i rencistów. Z tym, że najwyższy stopień nieadekwatności tego, co jest, z tym co, ich zdaniem, być powinno, przypisują własnej grupie zawodowej.

Dodatkowo frustrujące jest przekonanie, że znacznie więcej jest takich, których dochody są za wysokie. Tu wymienieni zostali (w kolejności według nasilenia postrzeganej niesprawiedliwości): prywatni kupcy i rzemieślnicy, milicjanci i wojsko, pracownicy administracji państwowej i aparatu partyjnego, robotnicy, wykwalifikowani robotnicy zatrudnieni w przemyśle ciężkim, artyści i chłopi.

Z wypowiedzi tych — zadziwiająco jednomyślnych — wieje niemal groza — można zaryzykować twierdzenie, że badani uważają się wręcz za przedmiot wyższu.

Czy do takiego przekonania upoważniają cyfry?

Dokładniejsza analiza danych wskazuje, że średni dochód na osobę w rodzinie nauczycielskiej wynosi 8,6 tys. zł, przy czym w połowie rodzin nauczycielskich na osobę przypada od 7 do 10 tys. zł, w zaledwie co czwartej rodzinie — powyżej 10 tys. zł. A więc faktycznie nie jest to sytuacja dobra.

Z drugiej jednak strony — nauczyciele należą chyba do osób szczególnie gospodarnych i oszczędnych, bowiem przy tych niskich dochodach częściej niż co trzecia rodzina posiada samochód, co piąta działkę rekreacyjną i co trzynasta domek letniskowy, ponad połowa — telefon, a co najważniejsze — 82,2 proc. ma własne, samodzielne mieszkanie o pełnostandardowym wyposażeniu.

Przy tak wysokim standardzie życia materialnego prawie połowa badanych ocenia go jako niski bądź bardzo niski, co wydaje się raczej dziwne.

Dziwić może również fakt, że mimo tak niskiej oceny swojej pozycji finansowej, a także wymienianych wielu złych cech, związanych z zawodem — nauczyciele w większości (85 proc. badanych) twierdzą, że używają satysfakcji i zadowolenie w pracy. Satysfakcję tę wiążą przede wszystkim z faktem, że widoczne są efekty ich trudów — przy czym z wyjaśnień większości wynika, że chodzi tu ra-



Mówi: Lech Sosnowski

— Gdzie pan kupił ten garnitur?
— Podobają się pani?
— Nie bardzo, coś mało modny. Chyba nie kupił go pan w „Centralu”?

— A właśnie w „Centralu” i to przed 10 laty. Szkoda mi go wyrzucić. Ale paski zaczynają się już robić modne. Klapy są wprowadzone za szerokie, ale i na nie wróci moda.

— Chce pan powiedzieć, że wszystko kupuje pan u siebie w „Centralu”?

— Niezupełnie. Kupuję też gdzieś indziej, również za granicą. Ale tam szczególnie go to, aby nasi projektanci mogli to skoplować, zainspirować się czymś ładnym i praktycznym.

— Lubi pan podróżować?

— Nie bardzo. Podróżuję mniej. Na ogół ich program jest napięty, czasu mało. Często, jeśli to ode mnie zależy, skracam czas takiej podróży.

— Którą z nich uważa pan za najciekawszą?

— Bez wątpienia podróż do Chin. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego.

— Czy chciałby pan zostać ministrem handlu wewnętrznego i usług?

— W żadnym wypadku. Lubię widzieć efekty swojej pracy. Nie lubię siedzieć za biurkiem.

— I dlatego nie przyjął pan takiej propozycji?

— Nie moglibyśmy zmienić tematu?

— Dobrze. Kim pan właściwie jest? Wszyscy mówią o panu jako o dyrektora „Centralu”, a jak dzwonić do pana, to sekretarka mówi najczęściej: — prezesa nie ma. Jest pan dyrektorem, prezesem...?

— Formalnie jestem prezesem, ale nie lubię tego tytułu. „Central” jest jednak spółdzielczym domem handlowym i jako taki musi mieć zarząd. A jak jest zarząd, to musi być prezes. I co mam zrobić?

— A poza tym, jakie ma pan inne funkcje i tytuły, ordery i odznaczenia?

— Czy muszę to wyczytać?

— Bez względu na to.

— Niech będzie. Więc tak: jestem członkiem Komitetu Łódzkiego PZPR i przewodniczącym Zespołu Handlu przy KŁ PZPR, działam w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci, należę do TPPR i do Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Greckiej, do Zespołu Historycznego ZSMP, działam w Klubie Sportowym „Społem”. Byłbym zapomniany, a to bardzo ważne: jestem Kawalerem Orderu Uśmiechu!

— Gratulacje. Sport uprawia pan czynnie, czy tylko kibicuje?

— Kiedy byłem młody, to owszem uprawiałem wszystkie, a trochę, ale amatorsko. Dziś nie ma na to czasu. Dziś oglądam jak to robią inni, w okienku.

— Ale sylwetkę ma pan w porządku.

— Dziękuję. Nigdy nie miałem kłopotów z przytyciem czy schudnięciem, utrzymuję się jakoś w normie.

— To pewnie dzięki temu, że ciągle jest pan w ruchu. Umówi się z panem w „Centralu” jest bardzo trudno. Sekretarka tylko powtarza: — nie ma, wyszedł, będzie około... i tak dalej. Jak pan sobie z tym wszystkim daje radę?

— Trzeba jakoś zmieścić się między różnymi naradami, zebraniami, przebież przez „Central”, samemu gdzieś zadzwonić. Na nadmiar wolnego czasu nie narzekam. Wręcz przeciwnie. Wstaję o 6 rano, kładę się spać między 23 i 24.

— Znajduje pan czas na życie towarzyskie?

— Owszem. Przecież trzeba widywać się z ludźmi.

— A nie czuje się pan zmęczony na takich spotkaniach?

— Przez pierwszą godzinę tak. Później się rozkręcam.

— Co pan woli pić: wódkę czy wino?

— Wódkę nie lubię. Lubię pić czerwone wino. Szczególnie latem, gdy jest gorąco, zmieszane z wodą. Znakomicie gasi pragnienie.

— Jest pan smakoszem?

— Uważam, że nie ma złego jedzenia. Wszystko jem. Ale najbardziej lubię fasolkę po bretońsku, którą zawsze gotuję sam.

— O, to coś nowego. Ma pan czas na gotowanie?

— Z czasem bywa różnie, ale umiem zrobić — sądzę znakomitą — fasolkę na stołko z rożynkami, węgierską zupę rybą z karpia i plotek, no i paczki, do pieczenia których potrzebna jest podgrzana mąka i 20 złotych...

— Byłby pan wspaniałym mężem.

— Dziękuję. Słyszę to po raz pierwszy od kobiety, która nie jest moją żoną.

— A propos. Po Łodzi chodzi plotka, że właśnie zmienił pan stan cywilny.

— Jeszcze nie.

— Jak pan wypoczywa?

— Soboty i niedziele od wiosny do jesieni — jeśli tylko nie przeszkadzają mi jakieś inne zajęcia — spędzam u syna w Łasku, który ma tam gospodarstwo rolne, a ja mam u niego swoją działkę, na której uprawiam warzywa i kwiaty.

— Kocha pan kwiaty?

— Bardzo, a poza tym potrzebne mi są, aby co sobotę zawieźć je na trzy groby.

— Nie muszę pytać, czy lubi pan swoją pracę, ale muszę zapytać, czy lubi pan swoich klientów?

— Handlowiec musi przede wszystkim lubić ludzi, bo dla nich pracuje. A jak chodzi o moich interesantów — tak ich raczej trzeba nazwać — to nie lubię tylko takich, którzy nie potrafią szybko i konkretnie powiedzieć, z czym przyszli i czego chcą.

— Ciągłe dzwonią u pana telefony. Nie powie pan, że to dzwonią ludzie tylko w sprawach handlowych, a nie klienci, którzy chcą coś kupić. Nie przeszkadza to panu?

— Nie. Przywykłem. Kiedyś była awaria telefonów. Wszystkie milczały. Przez pierwsze pół godziny czułem się wspaniale. Zależało mi na całej zaległej korespondencji. Przez następne było już trochę gorzej, nikt nie chciał. Przez trzecie pół godziny byłam wściekły. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Na szczęście awaria usunięto i telefony zaczęły dzwonić. Zrobiło się normalnie.

— A jeśli chodzi o tych, którzy przychodzą do mnie po pomoc, bo czegoś potrzebują, a nie mogą z różnych powodów stać w kolejkach, biegać po mieście i szukać, to nie przeczę, że im pomagam. Są to różni ludzie. Jest wśród nich wiele osób starszych, inwalidów, ułomnych, są też ludzie piastujący różne urzędy, którym czas i nawał pracy nie pozwala stać w kolejkach. Jak więc nie pomóc takim ludziom?

— Ponoć w „Centralu” można kupić wszystko?

— No, bez przesady. Nie ma na świecie takiego domu towarowego, w którym byłoby absolutnie wszystko. A co pani by chciała?

— Suszarkę do włosów.

— Zaraz — dyrektor nakreśla numer telefonu: — Halo, macie suszarkę? Co? Jak to? Niemożliwe... Dziękuję! — do mnie! Przepraszam, ale właśnie skończyły się.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

TERESA JERZYKOWSKA

Jaki jest nauczyciel?

Świadczeń pieniężnych i osobistej pomocy przy wnoszeniu nowych obiektów szkolnych, aż po świadczenia o charakterze myśli twórczej, niezbędnej przy konstruowaniu takiego programu, który by nie tylko obecną kryzys pomógł przełamać, ale i stworzył warunki do przyszłego, harmonijnego rozwoju tej dziedziny życia.

Do działań tych włączyli się również pracownicy naukowcy z Zakładu Socjologii Ogólnej Uniwersytetu Łódzkiego przeprowadzając — w czerwcu 1985 r. — badania dotyczące sytuacji szkoły i nauczycieli w Łodzi. Wyniki tych badań zaprezentowane zostały na sesji naukowej, jaka odbyła się jesienią 1986 r.

Badania objęły reprezentatywną grupę nauczycieli łódzkich ze wszystkich typów szkół — podstawowych, zawodowych i średnich. Ich wyniki dają obraz, czego wyodróżnia nauczycielskiego i pozwalają na sformułowanie odpowiedzi na pytanie: Jacy są nauczyciele? Odpowiedzi nie byłyby ważne i tym samym chyba interesujące dla szerokiego kręgu społeczeństwa, od niej bowiem zależy w dużej mierze finalny efekt działania szkoły jako instytucji. Oczywiście dydaktycznej, a zwłaszcza z wychowawczej roli szkoły przecenić nie należy — kształtowanie się postaw, poglądów i charakteru dojrzałego człowieka zależy obecnie w coraz większej mierze od innych czynników m.in. telewizji, dysponującej atrakcyjniejszymi, a tym samym skuteczniejszymi środkami oddziaływania, grup rówieśniczych, odgrywających jak można sądzić, coraz większą rolę w kształtowaniu osobowości młodzieży, czy wreszcie środowiska rodzinnego. Niemniej szkoła nadal ma wypełniać — i wypełnia — zarówno funkcje dydaktyczne, jak i wychowawcze, a to, jak je wypełnia zależy od warunków lokalowych, programów, podręczników i tysięcy jeszcze innych, wymiernych czynników — ale w największym stopniu od nauczycieli.

Wydaje się, że niedługo będzie twierdzić, iż dla kształtowania obrazu następnego pokolenia dobry nauczyciel może zrobić trochę dobrego, zły — wiele złego. A więc:

JACY SĄ?

Pytanie powinno właściwie brzmieć „jakie?” bowiem za wód ten należy do najbardziej sfeminizowanych. W Łodzi — podobnie jak w kilku innych wysoko uprzemysłowionych środowiskach wielkomiejskich — zjawisko to występuje szczególnie ostro. Kobiety stanowią prawie 83 proc. kadry nauczycielskiej. Najgorzej pod względem struktury przedstawiają się szkoły podstawowe, gdzie nauczycieli — mężczyzn — trzeba niemal za świecą szukać — przypada ich zaledwie

czasie mogą ulec zmianie, bowiem wiele osób studiując, wiele również deklaruje taki zamiar w przyszłości.

Łódzcy nauczyciele zajmują się nie tylko nauką i wychowaniem cudzych dzieci, ale i własnych. Zdecydowana większość — 71 proc. — posiada rodziny 3—4 osobowe, 80 proc. badanych nauczycieli weszło w związki małżeńskie, przy czym na każde 5 małżeństw przypada jedno takie, w którym nauczycielem jest także współmałżonek.

O tym, jaki jest nauczyciel decydują nie tylko kryteria formalne, takie jak staż pracy, wykształcenie itp. lecz i wiele innych czynników. Min. można się spodziewać, że lepiej, z większym zaangażowaniem i skutecznością wykonującą będzie swój zawód (odnosząc się do zresztą nie tylko do zawodu nauczycielskiego) osoba, która trafiła do nieprzypadkowo, lecz z własnej chęci. Tymczasem dość powszechnie mówi się, że w przypadku nauczycieli działa zasada selekcji negatywnej — kto nie dostał się na uniwersytet czy politechnikę studiując zbliżony do wybranego kierunku na uczelni pedagogicznej, kto nie może znaleźć pracy gdzie indziej — trafia do szkoły.

NIE PRZPADEK, LECZ POWOŁANIE?

Wyniki badań nie potwierdzają tej opinii. Zaledwie 16 proc. ankietowanych przyznało, że zostali nauczycielami w sposób przypadkowy. Pozostali wybrali zawód świadomie, zgodnie z własnymi zainteresowaniami i chęciami. Z tej, znacznie liczniejszej grupy, prawie połowa nigdy nie rozważała możliwości wykonywania innego zawodu, pozostali, wybierając swą drogę życiową, zastanawiali się nad innymi możliwościami, ale ta właśnie wybrała im się najlepsza.

Wyniki te — zakładając szczerść anonimowych wypowiedzi — świadczą o korzystnym fakcie, że zdecydowana większość została nauczycielami z zamiłowania (określenie „z powołania” wydaje się mimo wszystko za ostre).

Czy jednak było to zamiłowanie do tego wszystkiego, co stanowi istotę pracy nauczyciela? Tutaj można mieć spore wątpliwości, bowiem ci sami ludzie na pierwszym miejscu wśród zalet pracy nauczyciela wymieniają „niski wymiar bezpośredniej pracy z młodzieżą i dużo dodatkowego, wolnego od pracy czasu w postaci wakacji, ferii, przerw świątecznych itp.”.

W tym więc aspekcie — zamiłowania do czasu wolnego — deklarowanie świadomego wyboru zawodu wydaje się w pełni uzasadnione.

Drugim takim czynnikiem, który, jak się zdaje, ma działanie silnie motywacyjne do pracy w zawodzie (co zresztą także nie napawa optymizmem) jest możliwość decydowania o

zają oni, że ich wynagrodzenie jest zbyt niskie w stosunku do kosztów utrzymania, wiedzy i umiejętności, jakich wymaga praca, wysiłku w nią wkładanego, posiadanego wykształcenia. Zdecydowana większość twierdzi, że płace nauczycieli są niedostateczne w porównaniu z płacami ich znajomych spoza szkoły, spora grupa wyraża pogląd, że zarabiała za mało w porównaniu z własnymi kolegami-nauczycielami.

Ogólne wynagrodzenie uzyskiwane za pracę odbierane jest jako niesprawiedliwie niskie. Niesprawiedliwie niskie są, zdaniem nauczycieli, także dochody niektórych innych grup ludności: pracowników biurowych, specjalistów z wyższym wykształceniem, emerytów i rencistów. Z tym, że najwyższy stopień nieadekwatności tego, co jest, z tym co, ich zdaniem, być powinno, przypisują własnej grupie zawodowej.

Dodatkowo frustrujące jest przekonanie, że znacznie więcej jest takich, których dochody są za wysokie. Tu wymienieni zostali (w kolejności według nasilenia postrzeganej niesprawiedliwości): prywatni kupcy i rzemieślnicy, milicjanci i wojsko, pracownicy administracji państwowej i aparatu partyjnego, robotnicy, wykwalifikowani robotnicy zatrudnieni w przemyśle ciężkim, artyści i chłopi.

Z wypowiedzi tych — zadziwiająco jednomyślnych — wieje niemal groza — można zaryzykować twierdzenie, że badani uważają się wręcz za przedmiot wyższu.

Czy do takiego przekonania upoważniają cyfry?

Dokładniejsza analiza danych wskazuje, że średni dochód na osobę w rodzinie nauczycielskiej wynosi 8,6 tys. zł, przy czym w połowie rodzin nauczycielskich na osobę przypada od 7 do 10 tys. zł, w zaledwie co czwartej rodzinie — powyżej 10 tys. zł. A więc faktycznie nie jest to sytuacja dobra.

Z drugiej jednak strony — nauczyciele należą chyba do osób szczególnie gospodarnych i oszczędnych, bowiem przy tych niskich dochodach częściej niż co trzecia rodzina posiada samochód, co piąta działkę rekreacyjną i co trzynasta domek letniskowy, ponad połowa — telefon, a co najważniejsze — 82,2 proc. ma własne, samodzielne mieszkanie o pełnostandardowym wyposażeniu.

Przy tak wysokim standardzie życia materialnego prawie połowa badanych ocenia go jako niski bądź bardzo niski, co wydaje się raczej dziwne.

Dziwić może również fakt, że mimo tak niskiej oceny swojej pozycji finansowej, a także wymienianych wielu złych cech, związanych z zawodem — nauczyciele w większości (85 proc. badanych) twierdzą, że używają satysfakcji i zadowolenie w pracy. Satysfakcję tę wiążą przede wszystkim z faktem, że widoczne są efekty ich trudów — przy czym z wyjaśnień większości wynika, że chodzi tu ra-

Smierć Ajschylosa

Stało się to powiadasz w Gell
jeszcze nie zaczęła się
gorąca rzeczywistość po Salaminie
on rówieśnik owego geniusza i lotra

Temistoklesa

schronił się na Sycylii
w cieniu tyrantów

ktoż wie jak trawił nieprzespany czas
napisał już Siedmiu przeciw Tebom Persów

Orestes

I zostało co nie zostało
wiemy o kogo idzie

póki spacerował zamyślony
szczyt łagodne morze
wychynał z białego nieba
orzeł (znak Zeusa i Persów)
wypuścił zółwia
uśmiercił go

dokądś sep złowieszczo odleciał
jaka cisza nastąpiła potem
legenda nie kłamie

ledwie smak bezkresnego zdarzenia
co każdemu potrzeba raduje
poszerza i wypelnia
wszelki zapis

Postfaust

Tam gdzie prawem jest zło
a zbrodnia zwyciężym
nie potrzebny już Mefisto.

Dokąd umknąć
Byle gdzie się oddalić
Jak powrócić
Gdy przesadzony
upadek
lecz nigdy w strony ojcyste
kiedys tam były wieś pałac i pola
skryte od winnic błogosławionymi figowcami
co rozdziły przy drodze owoc przynosząc chłód
nie tylko wybranym i zmęczonym ludziom
Wiarę mógł posiadać każdy nadzieja jak
zawzięcie

ocalają wszystko
Małgorzata odważyła się również iść na
spotkanie

z Jezusem przy studni
tak jak odeszła z Faustem dźwigając na głowie
wiadro wstydu
zbierając jeźyny w sierpniu
podczas gdy ich dzieci i duchy dąbrowy
nawlekaly na kłosa zwiędłe liście
Gniazda pachniały pisklętami i spojrzaniem
zakochanych

Ni jedno drzewo czy pragnienie nie światały
bez opamiętania

Trwa noc Walpurgii — nieznosna
nieświadomość
pole i morze obróciły się w śmietnik
i myśli na wietrze
cuchnie. Eli, Eli, lamma sabacthani... slychac

zgrzyliwie jęki muzyki co złączyła miłośnię
ziemię
z niebiosami o wczesnej porze świata

Wszystkie arcy-dzieła świata: uwertura
w zle-dzieła
Czy to możliwe że wyczerpała się wieczność
a koniec już nam obrzydł
Powietrze woda słowa — wszystko to łatwo
uleczyć
ale gdy rozchoruje się niebo — wówczas
Wówczas

Pogrzebicie mnie wysoko (okruszyne znad
waszych ust) wysoko mnie
pochowajcie, na niedostępnym konarze
gdzie niezwykły kos
darzy zaufaniem pewną kasztelańską rodzinę,
tam gdzie cyprys
nie zarazi się syfilisem od pewnej władczyni
o twarzy babki kłozetowej
w mieście najpodlejszym z miast
(My Falklands!), tam tam gdzie
cyprys przyjmuje wróble na nocleg
i nie strząsa ich
nie sposobny do zdrady

Nie trzeba mi wiedzy
Ani tym bardziej patrzącego serca
Ni dziecka ni młodzieńca bym sam nie został
Tak zestarzałem się na wieczność
i nasyliłem się żywotem

Czeplię się na ugorze odrzuconych
instrumentów
porachunki i forteplany zarosłe na wskroś
chwastami
wyróbujcie lirę lilie głowę Orfeusza
która nie odpłynęła na Lesbos
odwiedziła Egipt
czaszkę Orfeusza (podobną do Yorka a ta
podobna do Marlowe'a
a ta podobna do czaszki Goethego) złączona
ścięgnem

i rozchodził się woń stamtąd gdzie niedyś
przenikał głos z melodiją
na radość Eurydyce monstrum surowości
owczej głowy Cerbera (jednej z trzech)

Ktoś zbalamucił Persefonę na wczasach
ktoś ukradł Charonowi portfel i beczy jak
okradziony Gromada
poplakuje, i on nie przewozi już dusze
powracając i śmierzdząc
po świecie

Na wysokościach, obłoki suche ogony psy
Szafani

wznicają kurz po niebie bez kropli
nieruchome
Komu dać odrobinę ducha
komu zapisać duszę
za ile

Powiedz Małgorzato gdzie moja ojczyzna
Gdzie Ow Który Jest
Jeśli nikt nie jest poza złem

Powiedz Małgorzato
Niech będzie kto wypowie
Ależ na Boga nie było co

Wszystko rzeczono dopiero co zniszczalcone
Niepocieszony pismem
Im Anfang und am Ende war die Un — tat
Jezus skrada się koło drwalni
niesie swój krzyż

Przekład:
STANISŁAW KASZYŃSKI

T.P. Marović (1924), wybitny poeta chorwacki, mieszka w Splicie, wydał szereg tomów poezji, kilka dramatów, powieści i opowiadań.

Kim jest tłumacz poezji? Artysta. Czy jest jednak poeta — twórcą, od poety — twórcę? Najczęściej nie, gdyż jego zadaniem jest nie tworzenie, lecz odwzorowanie tego, co inny twórca stworzył w innej materii językowej. Tłumacz-poeta w chwili, gdy dokonuje przekładu cudzego wiersza, nie może być sobą, poetą-suverenem, indywidualnością, lecz wypożyczonym innemu pocie językiem i sprawnym piórem.

Podkreślając konieczność rozłączności w chwili pracy translatorskiej między twórcą pracą poety a odwrotą tłumacza, użyłem przysłówka „najczęściej”. Bywają przypadki, kiedy prosta odwrotność jest niemożliwa: nie pozwalają na nią przeszkody wynikłe z nieprzystawności struktur gramatycznych obu języków. Wtedy należy szukać kompromisu do przyjęcia dla obu stron. Jedną stroną jest tu rygor maksymalnego podobieństwa, druga niewydolność języka, na który się przekłada, oraz wgląd na nieprzekroczenie rubieży, do której możliwa jest akceptacja przez czytelnika. A takie szukanie to już nie zwykła odwrotność, ale i eksperyment samodzielny, a zatem konglomerat odwrotności i twórczości.

Poeta w chwili, gdy staje się odwrotą, musi zapomnieć, że posiada własny warsztat — często doskonalszy od warsztatu poety przekładanego. Na przykład, w wypadku przekładania mistrzów antyku czy klasycyzmu, musi zapomnieć, iż sam by nigdy w życiu nie sięgnął po przegadane porównanie homeryckie, a gdy przekłada mistrzów Prowansji i włoskiego renesansu, musi zmoczyć się z nie opłacającym się skórka za wyprawkę wieńcem sonetów. Musi orientować się we wszystkich konwencjach poetyckich a więc — być pisującym cudze wiersze filologiem. I musi się nauczyć z chwili, kiedy modernizm. Intencją retuszów było — nienia. Jeśli wspomnianie sztuki nie posiadzie, powstanie sytuacja, którą możemy sobie wyobrazić w tańcu, gdy partner i partnerka usiłują prowadzić jednocześnie...

Kilka konkretności.
Niemiec Schroeder, a za nim w 1797 roku Antoni Bogusławski, ludzący się, że gust epoki oświeconej jest gustem idealnym, w przekładzie „Hamleta”, poddali utwor „albionkiego barbarzyńcy” przeróbką, usuwając z dramatu m.in. sceny z duchem. Za mojej pamięci czołowi tłumacze dokonywali cudów zrecenzji, by tłumaczac utwory Bioka, Cwietajewej i Achmatowej, zatrzeć w przekładach wyraźniejsze ślady modernizmu. Intencją retuszów było — nie eksponować wstydlwego faktu, że na twórczość tak wielkich poetów odbił się „zły smak secesji”, który po niedługim czasie stał się znów... dobrym smakiem.

Z kolei przykład niezrozumienia wysoce typowy dla współczesności:

Przygotowując wybór wierszy Grigorija Pietnikowa zaproponowałem debiut w tej książce w charakterze tłumacza kilku zdolnym młodym poetom. Po odebraniu od nich „gotowych” przekładów stwierdziłem, że regularnym, gładko rymowanym oryginałom nadali oni charakter wierszy o całkowicie rozluźnionej rytmice i bez rymów. W toku poprawek za każdym razem odbierałem wiersze nieco regularniejsze, lecz zawsze co najwyżej z asonansami i konsonansami zamiast rymów. Nie od razu zorientowałem się, że przyczyną była tu chwalebna wierność młodych ludzi praktykowanej przez siebie poetyce.

I wreszcie translator musi zrozumieć intencje twórcy np. przydatność niedopowiedzeń. Oto wers starannego na ogół przekładu na białoruski wiersza Broniewskiego „Łódź”. Oryginał: „Śmierć się wysnuje z motków bawelny”. Przekład „Wytaczacza śmierci fabrykantem z bawolny”. Ipatologicznym dodatkiem „fabrykantem” odebrał balladową niesamowitość sytuacji lirycznej, opuszczeniem detalu „z motków”, zniweczył obraz godny Hieronima Boscha.

Słyszmy nieraz wygłaszany z powagą frazes: tylko dobry poeta może być dobrym tłumaczem — albo — czym lepszy poeta, tym lepszy tłumacz. Ta złota myśl nie odpowiada prawdzie z bardzo prostej przyczyny: warunkiem powstania dobrego przekładu (poza przygotowaniem filologicznym) są zdolności imitatorskie. Zdarza się, że ten sam autor posiada w równym stopniu oba rodzaje — tych co nieco kłó-

cących się ze sobą — zdolności. Ale może się zdarzyć, że posiada tylko jeden, a jeśli dwa, to w stopniu nierównym. O tym, jak niełatwo jest nieraz wielkiej indywidualności poetyckiej wyłączyć na czas przekładu swoje znakomite „Jestem”, świadczą nader przeciętne przekłady Kasprowicza z poezji angielskiej oraz antyku i nieudane przekłady utworów Słowackiego dokonane przez Borysa Pasternaka.

Sukces przekładu zależy od talentu imitatorskiego, wiedzy przedmiotowej i kultury autora, od stopnia spiętrzenia przeszkód wynikłych z odmiennych organizacji gramatycznej języków, ich leksyki, odrębności wersyfikacyjnych i pokonywalności tych przeszkód, wreszcie od tematu... W ostatecznym bowiem rachunku decyduje o nim zdolność wywołania w czytelniku — członku innego narodu, o innej historii i set-

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

O mordegach i radościach tłumaczy

kach innych inności — identycznych wrzuseń, jakie emanują z oryginału, oraz budzenie w nim identycznych refleksji. Tak się złożyło, że siłą fatalną, siłą przebiecia ad universum uzyskało wydarzenie wewnętrzne w kraju nad Sekwaną, zwane „zburzenie Bastylli”, a nie uzyskał go atak chiński na armaty pod Racławicami, rangę toposu uzyskało Jabłko na głowie syna Wilhelma Tella, a nie dramat ojców, zmuszonych szyć z łuków z murów Głogowa do własnych dzieci. I nie jest to bynajmniej wyróżnik poezji polskiej. Zjawisko jest szerokie jak świat, gdyż na całym świecie są zamknięte — i to raczej od zewnątrz — wspólnoty historyczno-etniczne, z ich poetyckimi Arkami Przymierza...

Prawie wszystkie jako tako liczące się literatury europejskie i z innych kontynentów mają w swym dorobku przekład bądź kilka przekładów „Pana Tadeusza”. Z tej listy tłumaczeń do rangi potencjalnie kongenialnych kandydatów mogą przekazać: na litewski, ukraiński (i rzeczywiste przekład Maksyma Rylskiego na tę rangę zastępuje), białoruski (język kraju, na którego obcych terenach leżało „tuż przy wielkiej drodze Soplicowo” — wymienimy tu przekłady Taraszkiewicz, Siemiatyżona...) i poniekąd węgierski, jednym słowem, na języki narodów, które czy z wiadomością względów historycznych, czy — Węgry — z powinowactw szlacheckiego obyczaju — posiadają znajomość sarmackich realiów. A szanse innych przekładów w tym względzie?

„Pan Thaddeus oder der letzte Eintritt in Lithauen”. Übersetzt Walter Panitz, Rucam okiem:

Nun war es Zeit, Das Fest neigt sich dem Ende,
Die Jugend wartet schon sehnsuchtsvoll,
Da sich an ganzem ihr Vergnügen sende.
So schreiet der Kammerherr, der wurde voll
Nicht ohne sich dem Schnurrbart glatt zu streichen.

Auf Zosia nun ihr jetzt Gehand zu reichen...
Co za diabeł! Początek akapitu: „Poloneza czas zacząć, Podkomorzy rusza”.

Ze wszystkich sarmackich realiów tłumacz zostawił tylko nazwę urzędu: Podkomorzy (Kammerherr) oraz czynność podkręcania wąsów. Pozostałe informacje tłumacz po prostu opuszcza. Nie dziwny mu się, jak nazwać po niemiecku kontusz, wyloty kontusza i wytłumaczyć czytelnikowi, jak się owe wyloty kontusza zarzuca? Istnieje alternatywa — wprowadzenie wolapłuku w rodzaju: „Herr Podkomorzy hat langsam die Ausflüge des Kontus abgeworfen”, ale chyba jest jeszcze bardziej niedorzeczna. I tak dochodzimy do wniosku, że nasz arcyepoeta, pozbawiony swych malowniczych realiów, zostaje

nie Petoffiego w świadomości rodaków generała Bema. Nierównie lepsze jest istnienie w świadomości świata choćby brzmiałego miejscami głuchego, niejasnego i przepoconego niemodną dziś egzaltacją „Testamentu mojego”, niż pustka wokół wspaniałego wiersza i jego genialnego twórcy.

Przejdźmy wreszcie do pokazania niektórych barykad gramatyczno-wersyfikacyjnych. Taką dla przekładowcy z poezji rosyjskiej jest ruchomość akcentu w tym języku, stanowiąca o jego charakterystycznej melodyce. W odczuwaniu urody wiersza rosyjskiego przez rzesze odbiorców, melodyka wiersza odgrywa dużo większą rolę niż w poezji polskiej, gdzie miernikiem takiej urody i nadrzędnym środkiem budzenia emocji czytelnicy jest zmetaforyzowany obraz — w wierszu wczoraj sylabicznym, dziś wolnym. A zatem nie odwrotymy w wierszu przełożonym na język polski melodyki wiersza rosyjskiego z daktylem w spadku, ponieważ rozprowadzamy nikim arsenalem wyrazów z akcentem na trzeciej sylabie od końca. Nie możemy zatem przekładając oddać precyzyjnej melodyki wiersza Bioka, ani tak popularnego swego czasu i wygłaszanego recitativo przez autora na bis, podczas spotkań autorskich, w latach dwudziestych w Wilnie i Warszawie wiersza Balmonta „Umierajuszczij lebieł”.

Fakt, że rozporządzamy jedynie kilkuset wyrazami jednosylabowymi, jakie możemy wystawić na spotkanie dziesiątkom tysiącom wyrazów rosyjskich, z akcentem na sylabie ostatniej, niemal uniemożliwia odwzorowanie w przekładzie linii melodycznej oryginału większości wierszy rosyjskich. Bolecząca to tym większa, że właściwie niemożliwe jest dokonanie wzorowego przekładu na język polski „Eugeniusza Oniegina”. Najdoskonalszy, jak do tej pory, przekład Balmonta razi monotonią rymotwórczą i aż nadto zrozumiałymi napięciami wewnątrz wersów. Nawet Tuwim załamał się po paru rozdziałach. Co więc robić? Trzeba iść na kompromisy. Kompromisem takim jest stosowanie pod koniec wersu, tam gdzie w oryginale występuje daktyl, stopy amfibrachiczne — też trój sylabowej i dającej podobne wrażenie płynności. W wierszu jambicznym jest nim od dawna stosowanie rymów żeńskich.

Zarówno poeta — tłumacz, który pierwszy odważył się wyeliminować męskie rymy z parzystych wersów jambu rosyjskiego (bódaż Polak), w imię umożliwienia koncentracji wysiłku translatorskiego, jak i Wazyk, który ciekawie i odważnie przebudował nietykalną aż do jego inicjatywy strofę „onieginowską” — wyszli poza właściwą odwrotność i stali się w momencie odnajdywania ekwiwalentów również i twórcami. Podobnie Taraszkiewicz, który licząc

się z nastawieniem ucha białoruskiego zastąpił trzynastogłoskowicę „Pana Tadeusza” heksametrem bliskim rozbiorowi „Pieśni Wajdeloty”.

O wiele gorzej ma się sprawa z przekładalnością na polski klasycznej poezji orientalnej. Otrzymałem kiedys do przekładu z „rybki”, wiersz wybitnego klasyka gruzińskiego Wazy Pszaweli, w którym kilkanaście razy powtarzał się ten sam rym. Storturowałem wyobraźnię, naszkicowałem sił w słowniku niczym szpilek w stogu siana — po to, żeby po odczytaniu na głos roześmiać się i wiersz przełożyć raz jeszcze z mocnym ograniczeniem ilości powtarzających się rymów, tak, by czytelnik odczuł mimo wszystko gruzińskość wiersza, a więc jego inność od stereotypów naszych.

Trudno jest nam też odczuć piękno gazeli. Odbieramy ją jako utwór wersyfikacyjny ubogi i jednostajny. Polscy tłumacze i naśladowcy tak dalece odchodzili od rygorów wersyfikacyjnych oryginału, że z samej gazeli często pozostawała tylko nazwa w tytule i temat miłosny.

I tu miejsce, by postawić dwie sprawy jasno: nie ma sensu przekładać wierszy nie różniących się od wierszy polskich, gdyż ani nie wzbogacają one ojczyzny-polszczyzny i jej obywateli o import nowych wartości, ani nie spełniają funkcji poznawczych, to znaczy nie posługują za okienko, poprzez które można zapuścić żurawia w cudze życie i w duszę cudzego narodu. I również nie ma sensu na siłę spolszczać obcych wierszy, wkładać na nie polski kostium narodowy, wynaradawiać, nawracać siłą. Nie wolno zacierać kolorytu lokalnego oryginału, odzierać go ze specyfiki obcych poetyk, ich symboliki, obrazowania, obcych rekwiwytów, czy oczyszczać z barbarzyństw, które z takim mistrzostwem i odwagą wykorzystali jako zabieg stylistyczny Mickiewicz w „Sonetach krymskich”.

Mistrzem od niezacierania w przekładzie charakterystycznych cech oryginału był Tuwim. Ważny choćby passus z przeniesionego z jambu w jamb „Jedźca miedzanego”:

Zahulać nam tu na wolności!
ruskie, nawet hajdamackie, a zarazem zgodne z naszymi wyobrażeniami o szerokiej duszy ruskiej.

A dalej:
Prastarej duszy splendor zgasł
Jako przed młoda cesarzową
Imperatrycą — wdową blask.

Tuwim z oryginału przenosił do przekładu poprzez odpowiedni dobór słów oficjalny bizantyjski koloryt państwowości Imperium od Niemna do Chywy — owego „Trzeciego Rzymu” cesarsko-prawosławnej ideologii. Słowa „splendor” w oryginale nie ma, ale jakże „siedzi” tu, w tym miejscu: jest empirowo patetyczne, zaakceptowane właśnie w osiemnastym wieku przez polszczyznę, przybyło do Rzeczypospolitej poprzez łacinę, ale wskazuje z Grecji — z Bizancjum.

I śmiałość przeniesienia wprost z tamtego języka słowa „imperatryca”. To obce słowo, ale przecież pojęte, wprowadzone w miejsce pozostawionego w spokoju jako niedostępne dla nieznających języka „porfironosnaja wdowa”. Wiem. Nie jeden raz te zalety przekładów Tuwima były podkreślane. Mógłbym się więc nawet i zawstydić, że powtarzam tzw. święte prawdy, gdyby nie fakt, że ostatnio coraz częściej spotykam się wśród młodszej generacji przekładowców z próbami „europeizacji”, nazbyt zapewne zdaniem translatorów „zapóźnionych”, współczesnych wierszy rosyjskich, nie honorowania obowiązującej tam konwencji zachowania wersów od dużej litery, a także normalnej interpunkcji, dużych liter przy imionach własnych, wreszcie — z rozluźnieniem rygorów wersyfikacyjnych. Z własnym wierszem wolno autorowi wyczyniać cuda, przy przekładach jednak musimy uwzględnić maksymę ze znanej memu pokoleniu w dziecinstwie książeczki Zofii Rogoszyńskiej „Dzieci Pana Majstra”. Brzmi ona:

Niechaj każde z was pamięta:
Cudza własność to rzecz święta.

Z półki recenzenta

AFORYZMY I MYŚLI

Od kilkunastu lat Państwowy Instytut Wydawniczy publikuje myśli i aforyzmy ludzi wielkich, którzy w widoczny sposób wywarli wpływ na epokę, w której żyli bądź dzieło przez nich stworzone weszło do skarbcza kultury światowej. Ostatnio w tej serii ukazały się „Aforyzmy i myśli” Tadeusza Kotarbińskiego, wielkiego polskiego filozofa i pisarza. Oto niektóre z nich: „Nie mam na to czasu, żeby tracić czas”, „Nudzi się może tylko ten, kto sam jest nudny”, „Było ich troje: on, ona i skutek”, „Trzeba być prawym, nie przestając być lewym”.

Gorąco zachęcam Czytelników do lektury tej mądrej książki.

Tadeusz Kotarbiński: Aforyzmy i myśli. PIW 1986. Str. 62. Cena 100 zł.

NIE TYLKO DLA PRAWNIKÓW

Ta książka, choć nie mieści się w obrębie szeroko pojętej literatury pięknej, zasługuje by poświęcić jej parę zdań. „Ossolineum” wydało kolejną wersję obszernego słownika prawniczego, a mianowicie „Słownik prawniczy polsko-rosyjski”. Czołowe będzie składać się z czterech publikacji (wersja polsko-angielska już się ukazała przed laty), dojdą: wersja polsko-niemiecka i polsko-francuska. Całość przygotował Instytut Państwa i Prawa PAN. I mimo, iż w tytule zaznaczono, że jest to książka dla prawników, winna się ona znaleźć także w bibliotece każdego tłumacza z czterech wymienionych wyżej języków na język polski.

Słownik prawniczy polsko-rosyjski. Ossolineum 1986. Str. 234. Cena 500 zł.

SENSACJA SPRZED PÓŁ WIEKU

26 kwietnia 1932 r. przed kawiarnią „Złotnicka” w Warszawie Julian Blachowski strzela do Gastona Koehlera Badina, dyrektora największej europejskiej fabryki liniarskiej, mieszkającej się w Żyrardowie. Wybuch sensacji, która przez wiele lat intrzyguje, rozpala umysły, wzbudza różne spekulacje, tym bardziej, że w całej sprawie — jak to okazało się później — byli zamieszani ówczesni promienni literaci, dziennikarze, a nawet słynny jasnowidz Ossowski. Szczegóły — w pasjonującej książce Romualda Karasia pt. „Ostatni odruch”.

Romuald Karas: Ostatni odruch. MON 1986. Str. 302. Cena 270 zł.

SPORA PRAWDA O ŻYCIU

Łódzki Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej opublikował tom opowiadań Janusza Mielczarka noszący tytuł „Zanim wyrzuci cię z samolotu”. Tytuł niegdyś nie wyjaśniał, choć intrzyguje, a może przypuszczać, iż rzecz dotyczy terroryzmu i terrorystów. Ale lektura pierwszego opowiadania przekonuje, że mamy do czynienia nie z sensacją, ale twardymi realiami życia.

Autor jest ekonomistą, działaczem kulturalnym, dziennikarzem. Omawiany tu tomik jest jego debiutem. I trzeba od razu powiedzieć, że udany. Nie często się zdarza — szczególnie w ostatnich latach — że ktoś zaczynający pisać przedkłada przejrzystość stylu i logikę zdarzeń nad modną ekwilibrystykę formalną, nad eksperymenty lingwistyczne.

Opowiadania z tomu „Zanim wyrzuci cię z samolotu” obejmują swym zasięgiem bardzo rozległy okres czasu: od okupacji po dzień dzisiejszy, a więc są zapisem tego wszystkiego, co zwykło się uważać za etapy w dziejach naszej najnowszej historii. A więc brutalność okupanta, trudne początki uamocnienia się władzy ludowej zaraz po wyzwoleniu (wraz z jej błędami, jej częstym komizmem, ale i z elementami tragizmu). Sporo miejsca poświęcił autor zdarzeniom najsłynniejszym, które na początku lat osiemdziesiątych wstrząsnęły krajem.

Prozę Janusza Mielczarka czyta się z zainteresowaniem, bo nie ma w niej namolnego moralizatorstwa, nie ma owej wszechwiedzy, którą grzeszą młodzi pisarze, wreszcie nie ma nudy, jaka towarzyszy większości książek ukazujących się obecnie na rynku księgarskim.

Polecam uważnie naszych Czytelników tę niewielką książkę, zawierającą sporo prawdy o życiu.

Janusz Mielczarka: Zanim wyrzuci cię z samolotu. KAW Oddz. w Łodzi 1986. Str. 158. Cena 130 zł.

Opracował: E. IW.

W czterdziestoletnich dziejach teatru, opery i baletu w Nowosybirsku wizyta w Polsce zespołu operowego tej placówki była pierwszym jego zagranicznym wyjazdem, w przeciwnym razie, w którym dał się poznać widzom wielu krajów. Radzieccy goście oprócz Warszawy, gdzie wystąpili z przedstawieniami pięciu różnych dzieł, zawitali także do Łodzi, pokazali tu trzy opery, reprezentującą sobą szeroki wachlarz możliwości wykonawczych, a ponieważ każde wieczoru następowały dość znaczne zmiany obsady, można założyć, że goście poznali cały (i to pokazy) garnitur solistów. Dodajmy, że goście wystąpili z własną orkiestrą pod batutą dwóch dyrygentów.

Pierwszego wieczoru oglądaliśmy „Dama z piką” Czajkowskiego. Wysokie umiejętności orkiestry, zwłaszcza świetne brzmienie kwintetu smyczkowego i pełna smaku scenografia, to dwa pierwsze nasze wrażenia, skwitowane przez widzów żywymi oklaskami, zanim jeszcze zademon-

strą, że wielu widzom nie zagrażało znużenie, a nawet sam utwór, jak i jego realizacja dostarczyła wielu mocnych przeżyć i stały się artystycznym objawieniem. Od samego początku przykuwały uwagę rozmachem i dynamiką sceny zbiorowe, którym towarzyszyła potężna brzmienia chórów i orkiestry.

Usłyszeliśmy w tym przedstawieniu kilku śpiewaków po raz pierwszy i byli to niemal bez wyjątku kreacje wokalne pierwszej próby, jak przede wszystkim WŁADIMIRA PRUDNIKA, który w roli księcia Iwana Chowańskiego uzyskiwał wspaniałą interpretację muzyczną, przez posługiwanie się stale zmieniającym charakterem i barwą głosu — od twardego i niemal krzykliwego, po aksamienną miękkość, basu-barytona o rozległej skali, co łączyło się z niezwykłym swobodnym aktywnością. Niezapomniane wrażenie pozostawiła zwłaszcza scena przed skrytobójczym morderstwem, rozgrywana w jego domu, z udziałem grupy baletowej wy-

WEJ, która stworzyła ujmującą postać zakochanej i skrzywdzonej kobiety. W roli jej po-wiernicy Emili, i zarazem żony Jagona, wystąpiła znana już nam BUBNOWA, która swojemu zadaniu, po większej części pantomimicznie, wykonywała z niuansami rzadko obserwowanymi w spektaklu operowym. Szlachetnym i ufnym Kassiem był ALEKSANDER BIELAJEW.

Również „Otello” został przyjęty przez publiczność jak najlepiej. Na specjalne uznanie, podobnie jak w „Chowanszczyźnie” zasługuje tu świetnie prowadzona orkiestra.

* * *

Wizyta gości z Nowosybir-ska pozostawiła po sobie wrażenie zdecydowanie dodatnie. Musi budzić podziw, że w centrum Syberii, tak „daleko od Moskwy”, funkcjonuje teatr operowy na aż tak wysokim poziomie artystycznym, rozporządzający przynajmniej kilkorgiem solistów, których na pewno niechęć by widzieli u

Opera z Nowosybirsk

Rzetelność i kunszt

strowali swoje umiejętności wokalne-aktorskie soliści. Najpierw zwrócił naszą uwagę w roli Tomskiego ALEKSANDER PRUDNIKA, wyjątkowo eks-presyjnie i z aktorską swadą tajemnicę „trzech kart”. Już pierwsze, o lirycznym charakterze, wejście HERMANA, kreowanego przez WALEREGO JEGUDINA zasygnalizowało spotkanie ze znakomitym tenorem, a każda kolejna aria przynosiła potwierdzenie jego niezawodnych umiejętności na całej skali nośności i równo prowadzonego głosu.

W przedstawieniu, które przygotowane nadzwyczaj starannie, z dużym pietyzmem dla muzyki, jak i dla poetyckiego ducha literackiego pierwowzoru, może najmniej przekonująca była według mnie scena balu, na zasadzie teatru w teatrze, trochę bowiem nie dostawało jej lekkości i wdzięku, w przeciwnym razie do wspaniałe wykonanej poprzedzającej sceny w salonie Lizy, gdzie chór dziewcząt przepięknie śpiewał dawne ludowe pieśni, a w solowej partii Pauliny usłyszeliśmy HALLINĘ BIBICZEWĄ obdarzoną mezzosopranem i wielką kulturą interpretacyjną.

Wymieniam tu z konieczności tylko najwybitniejsze kreacje nie sposób pominąć prawdziwie majstersztyku wokalo-aktorski ANTONIY BUBNOWEJ (Hrabina) w śpiewanej po francusku ariecie Grettyego i w przejmująco odegranej scenie śmierci starej kobiety porażonej strachem. Rolę Lizy z dużym zapałem wewnętrznym wykonała TATIANA ZORINA.

W całym przedstawieniu jak najlepiej spisywały się chóry, przykuwały też uwagę orkiestra, choć w kilku miejscach brzmienie blach mogło się wydawać zbyt silne i ostre. Niezwykłej urody były subtelne w wyrazie dekoracje, posługujące się głównie przejrzystą białą tkaniną, jak np. w scenie balowej II aktu.

Ze zrozumiałym zainteresowaniem, ale i pewną obawą oczekiwałem drugiego wieczoru, który wypełnić miała „Chowanszczyzna” Mussorgskiego. Okazało to niezwykłe u nas rzadka, ostatni bodaj raz mógł słyszeć to dzieło polski widz na proscenium teatru (stąd zainteresowanie). Ale obawy budziła czas trwania opery, jej ludowo-mistyczny, mroczny klimat, kryjący w sobie niebezpieczeństwo znużenia monotonią, (dodajmy, że ten utwór wielce talentowanego samouka był już instrumentowany przez Rimskiego-Korsakowa i Ravela, zanim opracował go w obecnej, może już ostatecznej postaci Dymitr Szostakowicz).

No i był rzeczywiście ten nastrój i ten klimat niespiesznie rozwijającej się epickiej akcji, ale mimo tego

konającej świetnie taniec perski.

Zaimponować też mógł potęgą i nośnością brzmienia dzwicznego basu majstersztyku i surowy dla jednych, opiekuńczy wobec innych, MICHAŁ DIEJNIEKO, jako Dosifiej, przywódca sekty starowierców. Talentem charakterystyczno-komicznym i równym oraz najswobodniejszym prowadzeniem głosu w każdej sytuacji i pozycji ciała zabłysnął tenor MICHAŁ POTICHONIN w roli Marji, poręcznej przez młodą Chowańską (ALEKSANDER BIELAJEW), potwierdziła swoją wielką klasę śpiewacza znana już BIBICZEWA. Wyronił się też wokalista i aktorsko ANATOLI FOKANOW jako Bojar Szakowicz. Ważną rolę Księcia Golicyna kreował WŁADIMIR WASILIEW.

Świetnie śpiewający chór spotkał się z wyjątkowym aplauzem widzów. Dekoracje, utrzymane w stylu tradycyjnym, świetnie jednak podbudowywały atmosferę utworu, do czego przyczyniło się też prowadzenie światła. Tak więc „Chowanszczyzna”, stanowiąca dla wielu z nas „wielką niewiadomą” okazała się wybitnym sukcesem zarówno samego dzieła, jak i całej plejady wykonawców, a wyrazem zachwytu widzów były długotrwałe oklaski na stojąco.

Stosunkowo niedługo jest znany polskiemu bywalcowi operowemu „Otello” Verdiego. Nie najgorzej też zapisało się w naszej pamięci łódzkie przedstawienie sprzed chyba dziesięciu lat. Podobnie jak w przypadku poprzedniego spektaklu scenograf zaprojektował dekorację stosując umiarkowaną umowność, nie silił się też na przepych, dbając bardziej o funkcjonalność. Kostiumy były gustowne i nie nadmierne strojne.

Już na samym wstępie, w scenie na nabrzeżu reżyser starał się zapowiedzieć dramatyzm dzieła przez pełne ruchowe napięcie pomysłu, pokazanie rozkołysanej żalogi cumowanego statku, rzuconego sztormową falą. Od strony aktorskiej dramatyczne treści najwybitniej uwiaryściły w grze Otella, gwałtownego w gniewie, zmagającego się z silnymi emocjami, oraz przez wewnętrzną dynamizm Jagona (J. GARBONOW), maskującego swoje intencje zakłamaną życzliwością. W roli Otella spotkaliśmy znów JEGUDIN, który tu zademonstrował w całej pełni potęgę i nośność swojego znakomitego kontrolowanego głosu i wytrzymał do końca swojej partii we wzorowej formie. Rola Desdemony przypadła doskonale wyszkolonej i obdarzonej korzystnymi warunkami zewnętrznymi LIDII SIZENIE-

siebie najlepsze teatry na świecie. Zwraca przy tym uwagę naturalność i swoboda gry aktorskiej, doskonałe zestrojenie z muzycznym przebiegiem dzieła, wysoka na ogół technika wokalna i prze-ważnie wzorowa dykcja. Nawet na polskich przedstawieniach rzadko rozumiałem ostatnio tak znaczne partie śpiewane tak doskonale.

Godzi się też zauważyć, że w każdej z pokazanych oper realizowano skutecznie odmienną koncepcję aktorskiej interpretacji — od teatru romantycznego z akcentem sągnowym, przez hieratyczność ruchu i gestu historycznej dramy, aż po typową dziełnowiekową konwencję, nie stroniącą od statyczności (dla dobra partii wokalne) i od teatralności zachowań. Słowem, na każdym niemal kroku widać było fachową rzetelność artystycznego warsztatu. Ubolewać należy, że wbrew dotychczasowym zwyczajom zaniechano informowania publiczności na bieżąco o zachodzących zmianach obsadach, co pozbawia też pewności recenzenta, że naniesione w programie ręczne poprawki są aktualne.

Wizyty takie, nawet jeśli składają do porównań na niekorzyść miejscowego teatru, mogą przynajmniej i powinny stanowić zachętę do przemyśleń i bodziec do solidnej pracy, podporządkowanej przede wszystkim wydobyciu z dzieła jego walorów muzycznych, obliczonej nie na doraźny sukces u mniej wyrobionej publiczności, lecz zobowiązanie trwałego śladu w kulturze.

JERZY KWIECIŃSKI

Państwowy Akademicki Teatr Opery i Baletu w Nowosybirsku, występy w dniach 13 — 15 listopada na scenie Teatru Wielkiego, Piotr Czajkowski „Dama z piką”, opera w 3 aktach, 7 odsłonach, libretto Modest Czajkowski, wg Aleksandra Puszkina. Kierownictwo muzyczne Izidor Zak. Reżyseria E. Pasyndow. Scenografia F. Nirod. Modest Mussorgski: „Chowanszczyzna”, ludowy dramat muzyczny w 3 aktach, 6 odsłonach. Instrumentacja, Dymitr Szostakowicz, libretto — Modest Mussorgski. Kierownictwo muzyczne — Boris Gruzin, reżyseria — Wagan Bagratuni, scenografia — N. Zolotariew, kostiumy I. Grinie-wicz.

Giuseppe Verdi: „Otello”, opera w 4 aktach, libretto — Arrigo Boito, wg. Williama Szekspira. Kierownictwo muzyczne — B. Gruzin, reżyseria — W. Bagratuni, scenografia — F. Nirod.

Komu nagroda „Odgłosów”?

WYPOWIADA SIĘ LUDWIK BENOIT

Biorąc pod uwagę, że doroczna nagroda naszej redakcji, przyznawana w tym roku po raz trzeci, ma honorować ludzi za upowszechnianie kultury, powinno się dość ostre kryteria stosować wobec tych osób i placówek, zwłaszcza profesjonalnych, które uprawiają działalność upowszechnieniową w ramach swoich statutowych czy etatowych obowiązków. Powinna więc być nagradzana bezwzględnie działalność wykraczająca poza obowiązkowy program działania, zrodzona z inicjatywy i pomysłowości ludzkiej.

Dobrymi przykładami takiej działalności na polu propagowania wartościowej sztuki był np. cykl upowszechniania muzyki symfonicznej przez Henryka Czyża w filharmonii łódzkiej, z jego własnymi prelekcjami, zatytułowany „Nie taki diabeł straszny”. Cykl ten miał bardzo liczny krąg słuchaczy, głównie spośród młodzieży.

Podobnie prezentowane swego czasu w programie telewizyjnym pogadanki prof. Wiktora Zina z Krakowa dotyczące stylów architektonicznych i zabytków architektury, ilustrowane wykonywanymi ad hoc rysunkami prelegenta spełniały moim zdaniem, jak najlepiej zadania upowszechniania kultury i sztuki w najszerszych kręgach społecznych.

Wydaje mi się, że w podobnych przypadkach pobieranie zgodnego ze stawkami honorarium jest całkowicie uzasadnione, gdyż opłaca się wtedy tylko sam czas wykonania, nie licząc wkładu wysokiej wiedzy i czasu przygotowania programu.

Wydaje mi się, że ważne nagradzanie tego rodzaju działalności upowszechnieniowej, profesjonalnej czy przez placówkę ruchu amatorskiego, w miejscowościach położonych z dala od wielkich centrów kultury. Oczywiście trudniej byłoby dla komisji oceniającej tego rodzaju działalność dostrzec to oświecenie.

Co do samej Łodzi i województwa, to widziałbym kandydata do nagrody „Odgłosów” w osobie przewodniczącej Towarzystwa Przyjaciół Teatru, pani Krystyny Bobrowskiej, która inspirowała i organizowała szereg cennych akcji, niezauważanych przez szereg środków masowego przekazu.

Jedną z nich jest całoroczny konkurs dla szkół, co roku o innym temacie, np. recenzji teatralnej, zapowiadany na początku roku szkolnego, a rozstrzygany w końcu roku. Bierze w nim udział po kilkadziesiąt szkół podstawowych i średnich z żywym udziałem nauczycieli.

Inną formą działalności jest okresowa impreza artystyczna poświęcona pamięci ludzi teatru, którzy odeszli od nas w ostatnim czasie. Przyjmuje ona postać spotkania z Łodzi ich sylwetki twórcze, ich wybitnie osiągnięcia artystyczne, w czym biera udział liczna ludźmi teatru i innych dziedzin życia artystycznego oraz naukowego, a także młodzież artystyczna.

Sądze, że jest to kandydatura godna uhonorowania.

Kronika kulturalna

PRZYZNANO doroczne nagrody prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji za twórczość radiową i telewizyjną. Miło nam poinformować Czytelników, że nagrodzony został również kolega z Łódzkiego Ośrodka TV Wiesław MACHEJKO i zespół Studia Małych Form Filmowych „Se-Ma-For”. Gratulujemy!

14 listopada w Teatrze Studyjnym odbył się wernisaż wystawy Andrzeja Graczykowskiego. Artysta prezentuje na niej najnowsze, nigdzie nie pokazywane prace.

30 października odbyła się sesja poświęcona 100 rocznicy urodzin Tadeusza Kotarbińskiego. Organizatorem sesji była Rada Towarzystw Naukowych.

12—14 listopada br. odbył się w Muzeum Etnograficznym i Etnograficznym w Łodzi V Przegląd Filmów Etnograficznych „Azja”. Prezentowane były filmy Chińskiej Republiki Ludowej, Japonii i Mongolskiej Republiki Ludowej oraz wybrane pozycje Wytwórn Filmów Oświatowych i Interpressu — w sumie 26 filmów. Organizatorami przeglądu były: Muzeum Etnograficzne i Etnograficzne w Łodzi, Katedra Etnografii Uniwersytetu Łódzkiego oraz Łódzkie Towarzystwo Kultury Filmowej.

Przegląd jest imprezą zamkniętą, mającą charakter naukowo-poznawczy przewidzianą dla etnograficznego środowiska uniwersyteckiego, muzealnego oraz filmowego. W czasie jego trwania zorganizowany został wśród widzów obchodów na najciekawszy film.

Przeglądowi towarzyszyła wystawa „Chiny — Mongolia — Japonia” prezentująca wybrane zabytki z zakresu kultury tradycyjnej i numizmatyki wymienionych krajów z kolekcji Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

JADWIGA PIETRASZKIEWICZ — PRZEKONAŁAM SIĘ O SŁUSZNOŚCI WŁASNYCH METOD...

— Czy pani docent często jeździ na konkursy śpiewacze i czym zdaniem pani jest dla młodego wokalisty udział w imprezie tego typu?

— Byłam tylko dwa razy na konkursach śpiewaczych: u Marii Fołtyn w Kudowie i Bogusława Kaczyńskiego w Kry-

wacki (bas) i Joanna Woś (sopran) byli rewelacjami tegorocznego Festiwalu w Krynicy, przy czym Nowacki zdobył wiele nagród, a Woś choć wyróżniona, to była typowana do Grand Prix. Jak skomentuje pani ich występy?

— Piotr Nowacki to bardzo zdolny śpiewak, młody, ale już z doświadczeniem, z dużą odpornością psychiczną, ma za sobą pięć konkursów i laury na każdym. W tym roku otrzymał w Kudowie I nagrodę i nagrodę publiczności, w Krynicy był podobnie. Śpiewa niezwykle serdecznie, żarliwie, prawdziwie, a to się zawsze podoba. Ponadto ma coś do powiedze-

— Przekonałam się o słuszności własnych metod, ale również zwracałam uwagę na to, jakie niedociągnięcia mają moi uczniowie i co muszą zlikwidować.

PIOTR NOWACKI — KONKURSY TO SZANSA NA ZAUWAŻENIE...

— Zauważyłem, że w swojej karierze śpiewaczej postawił pan na konkursy wokalne i systematycznie je wygrywa. Tyłko czy można sobie coś takiego zaplanować?

— cje, a ja jestem już dorosły i pora, abym zaczął działać samodzielnie.

— Zdobył pan laury na prawie wszystkich konkursach w kraju, pozostały zagraniczne?

— Poprzedzają je przesłuchania w Polsce, w przypadku przegranej można wyjechać na własny koszt, ale to bardzo droga przyjemność. Wygrałem także przesłuchania do Lipska, ale udział w szkolnym przedstawieniu opery „Don Pasquale” stanął na przeszkodzie. Teatr jest najważniejszy. Wszystko co poza nim to tylko dodatki, nawet wygrane konkursy.

— Kto właściwie odkrył panią poza Akademią Muzyczną w Łodzi?

— To pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Faktem jest, że pierwsze występy publiczne zostały zorganizowane przez Towarzystwo Polsko-Włoskie. Szczególnie miłym akcentem było zauważenie ich przez łódzką prasę.

— Wszystko co pani umie zawnieść...

— Oczywiście doc. Jadwidze Pietraszkiewicz. Tym bardziej, że do Akademii Muzycznej została przyjęta z niezbyt dobrym głosem i czekały na nią lata ciężkiej pracy. Przełom nastąpił na V roku.

— Kto podpowiadał pani, że mogłaby zaśpiewać w Krynicy?

— Gdy przyszedł materiał reklamowy do uczelni, pani profesor wytypowała mnie, namówiła i rozpoczęliśmy pracę nad repertuarem konkursowym.

— Podobno była pani w Krynicy kandydatką do nagrody Grand Prix, ale dopadła ją chandra i przegrała?

— Nie można się już wycofywać i dlatego mimo przeziębienia, które dopadło mnie w II etapie postanowiłam śpiewać do końca.

— Czego doświadczyła pani podczas pobytu w Krynicy?

— Była to jeszcze jedna próba wytrzymałości psychicznej, a stan psychiczny śpiewaczki jest chyba najważniejszy.

— Czy przygotowuje się pani do kolejnych konkursów?

— Na razie chcę odpocząć, w tym roku w kraju nie ma już konkursów, a co będzie w roku przyszłym — zobaczymy.

— Ma pani także na uwadze konkursy zagraniczne?

— Nie chciałabym zapeszyć.

— Jak zachowuje pani wciąż tak wysoką kondycję wokalną?

— Jest ona uzależniona od stopnia opanowania techniki wokalne, którą zdobyłam w szkole. Obecnie biorę po jednej godzinie trzy lekcje w tygodniu, przygotowuję recital dyplomowy. Nie piję zimnych napojów, ale staram się żyć normalnie.

— Przed panią nowe zadanie: wymarzona przez sopran koloraturowa partia Violetty w „Traviacie”. Czy właśnie o takich rolach pani myśli?

— Partia Violetty w „Traviacie” — to moja idee fixe i właśnie o takich rolach marzę, wśród nich są m.in. takie postacie jak Mayerbeera Dinorah, Westalka, Lunatycka, kobiety z tych oper należą do tych osobowości scenicznych, które można nie tylko zaśpiewać, ale i zagrać. Nie wiem, czy podołam, ale będę się starała.

— Na „Gali operowej” miała pani kłopoty ze sztucznymi rzęsami lub ząbami?

— Nie używam sztucznych rzęs, były spowodowane zbyt ostrym oświetleniem na scenie. Rozmazał mi się tusz i dlatego płakałam.

ROMA OWSIŃSKA — TOWAR DO KUPIENIA...

— Czy konkurs w Krynicy był pani pierwszą imprezą tego typu?

— Po raz trzeci śpiewałam na konkursie wokalnym. Debiutowałam na V roku studiów na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Tuluzie, dochodząc do finału, ale byłam wtedy niedoświadczona i dobor repertuaru nie pozwolił mi na wszechstronne pokazanie się. W lipcu tego roku śpiewałam na Międzynarodowym Konkursie Telewizyjnym w Belgii, jest to konkurs belcanto, odbywający się w studio telewizyjnym, w kostiumach, dekoracjach, w pięknej scenografii kwiatowej. Transmisowany przez belgijską TV do wielu krajów. W Gandawie jest wilgotny klimat, bardzo korzystny dla śpiewaków. Stawiałam w nim 12 par z różnych krajów świata, mnie towarzyszył Piotr Nowacki. Po występie otrzymałam miłą propozycję — zaproszenie od śpiewaczki La Scall Bisercy Cvejic, która w Monachium prowadzi własną szkołę śpiewu. Chcia-

łabym z niej skorzystać. Trzecim konkursem był Festiwal Arii i Pieśni im. Jana Klepury w Krynicy.

— Jak wyglądało przygotowanie i ile czasu zabrało pani, aby wziąć udział w tym ostatnim konkursie?

— Śpiewu uczyłam się 11 lat i wszystkie te lata musiały procentować w przygotowaniu się do występów konkursowych. Do udziału w krynickim konkursie namówił mnie dyr. Sławomir Pietras. Zgłoszenie wysłałam w ostatniej chwili. Przygotowałam się sama, pod opieką męża-muzyka, z towarzyszeniem akompaniatorów Krystyny Hussar-Moczulskiej. W repertuarze były sopranowe arie z oper: „Traviata”, „Ernani”, „Cyganie”, „Rigoletto”, „Lucia z Lammermoor”.

— Swoją rolę kształciła pani u kilku pedagogów?

— Zaczynałam w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej w Kielcach u prof. Bolesławy Wiśniewskiej, jednocześnie ukończyłam Wydział Instrumentalny (klasa fletu) w tej samej szkole. Planowałam dalsze studia w dziedzinie fletu, ale ostatecznie zdecydowałam się na wokalistykę. Nie dostałam się na Wydział Wokalno-Aktorski Akademii Muzycznej w Łodzi, ale za to przyjęto mnie na II rok do Akademii Muzycznej w Katowicach (klasa Haliny Marzec-Kubis). Z uwagi na meza studiującego w Łodzi przeniosłam się tu, doc. Rajmund Ambroziak przyjął mnie na III rok, dostałam się do klasy doc. Adeli Winiarskiej. Lata studiów w Łodzi były dla mnie szczególnie ważne, właśnie tu uczelnia pozwoliła mi rozwinąć się wokalnie i aktorsko. Na scenie zadebiutowałam partią Safii w „Baronie cygańskim”, angaż do Teatru Wielkiego w Łodzi otrzymałam po zaśpiewaniu partii Noriny w „Don Pasquale”. Spotkałam Romana Werlińskiego, który przez 1,5 roku prowadził mój głos w kierunku sopranu koloraturowego.

— Czy Teatr Wielki spełnia pani oczekiwania i nadaje pokładane w niej nadzieje śpiewaczki?

— Tak. Dbają tu o rozwój warsztatu wokalnego, stwarzają warunki do pracy nie tylko w teatrze, ale zapewniając mi mieszkanie w Łodzi.

— Prawdziwą karierę śpiewaczki tworzy nie tylko teatr?

— Karierę tworzy los, a ja wierzę w przeznaczenie, choć trzeba mu pomóc, doskonalc warsztat. W Polsce nie ma zawodu impresaria, a przydałby się bardzo. Po zdobyciu I nagrody w Krynicy otrzymałam wiele propozycji.

— No właśnie, co właściwie wynika z takiego zwycięstwa w konkursie?

— Zostałam zauważona. Np. w wyniku nagrody PAGART-u będę mogła wyjechać na jeden z zagranicznych konkursów wokalnych — do wyboru Nagroda Huty Katowice to 30 tysięcy złotych, od Towarzystwa Krynickiego Twórców Kultury im. Jana Klepury dostałam kryształ i nagroda była w postaci 60 tysięcy złotych. Wśród propozycji są nagrania radiowe, telewizyjne, zaproszenie z recitalami do Sosnowca, do Pałacu w Rybnem.

— Czy był to dla pani najważniejszy konkurs?

— Tak, ale stawiam go na równi z moim występem w partii Lucji w Teatrze Operowym w Messynie gdzie spotkałam się z bardzo sympatycznym przyjęciem włoskiej publiczności i krytyki.

— Co teraz będzie pani robić w teatrze i poza nim?

— Wyjadę na koncerty po kraju wezmę udział w warsztatach operowych „Narodiny gwiazdy”, przygotowuję partię Violetty w „Traviacie”.

— A co chciałaby pani robić?

— Chciałabym raz jeszcze odwiedzić Włochy Sycylię, zaśpiewać w rodzinnym teatrze tytułową „Lunatyckę”.

— Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Laureaci z Krynicy

nicy. Występując tam w roli obserwatora, bowiem do jury zaprasza się ludzi nie parających się zawodowo śpiewem. Każdy występ młodego śpiewaka w konkursie jest dla niego bardzo pożyteczny, nawet wtedy gdy odpada na jakimś etapie lub przegrywa. Mogą oni sprawdzić się, nabrać odporności psychicznej, posłuchać innych i zdobyć skalę porównawczą.

— Jak długo przygotowuje pani swoich studentów do konkursu wokalnego i na czym to polega?

— Nie prowadzę specjalnego przygotowania konkursowego, wszystko wynika z czasu lekcji, z późniejszym uprościowaniem odpowiedniego repertuaru na konkurs. Przygotowuję swoich studentów nie tylko do konkursów, ale głównie na półrecitale, recitale, dyplomowe. Kontakt śpiewaka z pedagogiem nie powinien ustawać po ukończeniu studiów.

— Czym powinien dysponować młody wokalista startujący w konkursie wokalnym?

— Przede wszystkim bardzo dobrze wyszkolony głos, szczególnie sopranów, bardzo dobrym przygotowaniem muzycznym i odpowiednią interpretacją swoich utworów. Dobry program to podstawa. Ponadto musi być przygotowany psychicznie, aby wytrzymać duże obciążenie, no i oczywiście być zdrowym.

— Obserwując tegoroczny konkurs krynicki zauważyła pani, że śpiewająca młodzież ma te cechy?

— W tym roku usłyszałam wiele przepięknych głosów, szczególnie sopranów. Inaczej rzecz miała się w przypadku dojrzałości wykonania bo wiele osób z bardzo pięknymi głosami śpiewało po uczniowsku. Podejrzewam, że niektórzy z nich nie wiedzieli o czym śpiewali. Niejednokrotnie zdarzało się, że ktoś otrzymał wyróżnienie za sam głos. Szkoda że większość nie potrafi operować swymi głosami.

— Pani student: Piotr No-

nia od siebie. Ma za sobą doświadczenie sceniczne i czołowe role.

Joanna Woś stawia dopiero pierwsze kroki i trzeba o tym pamiętać. Bardzo dobrze zaśpiewała pierwszy i drugi etap, zebrała znakomite recenzje, trzeci etap przegrała, bo w tym czasie zachorowała i zdobyła mało punktów.

Na koncercie laureatów Joanna odniosła prawdziwy triumf, bo była już w dobrej formie. Świadcza o tym owoce, gratulacje, wśród nich od Bernarda Ładysza. Ważne było, że pokazała się na tym konkursie.

— Na tegorocznym Festiwalu w Krynicy nie przyznano nagrody Grand Prix, jaki więc był w pani ocenie poziom tegorocznego konkursu?

— Poziom był wysoki z uwagi na wielką ilość wspaniałych głosów, szkoda, że zabrakło dojrzałości śpiewaczki. Z każdym rokiem będzie trudniej, za trzy lata ma to być konkurs międzynarodowy.

— Czy młodzi wokaliści mają coraz większe szanse na odkrycie i prawidłowy rozwój kariery w kraju?

— Nie ulega wątpliwości, że takie możliwości dają konkursy w Bytomiu, Kudowie i Krynicy, a także w Nowym Sączu, Warszawie. W porównaniu z ubiegłymi latami jest lepiej. Przecież to właśnie na konkursach śpiewaczych dyrektorzy teatrów operowych mogą wysłuchać, obejrzeć i zaangażować największą ilość dobrych głosów.

— Jak wędzie się pani studentem za granicą, bo o ile wiem zasilają oni teatry operowe na świecie?

— Mam studentkę — solistkę Opery Waszyngtońskiej, której wędzie się bardzo dobrze, to Alina Plecha (sopran), i studenta, solistę Opery w Hildesheim (tenor Piotr Rednarski), również z powodzeniem śpiewający w RFN.

— Jakie doświadczenia przyniosła pani z Krynicy?

— Wychodzę z założenia, że młody śpiewak powinien jeździć na konkursy, pokazywać się, śpiewać, bo to jedyna możliwość i szansa na zauważenie. Nagrody trudno sobie zaplanować, ale zwycięstwo bardzo procentuje w dalszej drodze.

— Przypomnijmy sobie pana konkursową drogę aż po ostatni laur na Festiwalu im. J. Klepury w Krynicy?

— Mój pierwszy konkurs, to Konkurs Pieśni i Ballad im. S. Moniuszki w Kudowie, gdzie zdobyłem I nagrodę i nagrodę za najlepsze wykonanie ballady. W tym samym roku 1984 zdobyłem III nagrodę na Konkursie Operowym im. A. Didura w Bytomiu, a w lipcu tego roku I nagrodę na Turnieju Młodych Śpiewaków. Operowych w Kudowie oraz nagrodę publiczności w Krynicy zdobyłem I nagrodę, nagrodę publiczności, nagrodę za najlepsze wykonanie arii z polskiej opery Śpiewałem też z Romą Owsieńską na Konkursie Telewizyjnym w Gandawie (Belgia), gdzie podobno bardzo się podobaliśmy.

— Czy pan miewa jeszcze trempę?

— Jest ona większa z każdym rokiem. Im większa odpowiedzialność za to, co się robi. Trema mija z chwilą, gdy wchodzi na scenę.

— Nie boi się pan rutyny?

— Nie. Myślę, że to mi nie grozi.

— Wciąż pozostaje pan pod opieką i kontrolą doc. Jadwigi Pietraszkiewicz?

— Oczywiście, studia w klasie doc. Pietraszkiewicz ukończyłem w 1985 roku, przy czym dwa lata byłem u Włodzimierza Załewskiego. Odkryła mnie prof. Pietraszkiewicz i wszystko, co się u mnie wydarzyło dobrego zawdzięczam właśnie jej.

— Jednak lubi pan wymykać się spod tej kontroli?

— Maestra traktuje mnie jak syna i chciałaby, abym przychodził codziennie na lek-



Piotr Nowacki
Foto: Chwałisław Zieliński



Roma Owsieńska
Foto: Chwałisław Zieliński



Jadwiga Pietraszkiewicz
Foto: Irena Strzemieczna



Joanna Woś
Foto: Chwałisław Zieliński

INNE SPOJRZENIE NA ARESZTOWANIE GEN. „GROTA”

„Kto wiedział, że „Grot” będzie 30 czerwca 1943 r. przy ul. Spiskiej 14 pomiędzy godz. 9.30 a 10.00, ten dał znać gestapo”. Oczywiście Ludwik Kalkstein. Tak przynajmniej osądzili wszyscy biografowie gen. Stefana Roweckiego — „Grot”, w tym także A. Chmielarz i A. K. Kunert, którzy w książce: „Spisła 14. Aresztowanie generała „Grot” — Stefana Roweckiego” (Warszawa 1983) bardzo dokładnie i szczegółowo odtworzyli aresztowanie Komendanta Głównego AK.

Czy aby jednak szczegółowo? Ci, którzy czytali zdecydowani są odpowiedzieć, że wszystko, co dotyczyło aresztowania i spraw z nim związanych wyjaśniono definitywnie. Mnie też się zresztą tak wydawało do chwili, kiedy nie przeczytałem w „Przeglądzie Tygodniowym” listu Tadeusza Tanasia z Warszawy zatytułowanego „Tajemnice aresztowania gen. „Grot” („Przegląd Tygodniowy”, nr 34 z 24.VIII.1986), z którego zacytowałem już jedno zdanie. Twierdzi on, iż „(...) zdrójca trzeba szukać bliżej — w środowiskach zainteresowanych unicestwieniem Roweckiego i tylko jego, w momencie wybrany, gdy był sam. W środowisku bezpośrednio kontaktującym się z Komendantem Głównym AK”.

L. Kalkstein na pewno nie należał do osób z bliskiego otoczenia gen. „Grot”. Ale mógł przecież dowiedzieć się w jakiś sposób, co będzie robił gen. „Grot” 30 czerwca 1943 roku. Wydaje mi się jednak, że chociaż miał do współpracy jeszcze Blankę Kaczorowską i Eugeniusza Świerczewskiego nie mógł dojść do tego, jak będzie wyglądał „rozkład dnia” Komendanta Głównego AK. Wiedzieli o tym w Komendzie Głównej.

Nie bez racji T. Tanaś pisze:

„W całej akcji zbyt dużo jest precyzji i nie się nie działa przypadkowo”.

Rację ma także autor listu, że gen. „Grot” był w mieszkaniu na Spiskiej bez ochrony. Z ochroną gen. „Grot” sprawa wyglądała tak, że generał bardzo nie lubił i nie żył sobie, ażeby mu towarzyszyła. Zgadzano się oczywiście ze zdaniem Komendanta Głównego, ale przeważnie kilku żołnierzy AK (oczywiście bez wiedzy gen. „Grot”) pilnowało swojego przełożonego. Ale 30 czerwca 1943 roku, jak twierdzi T. Tanaś, nikt go nie osłaniał. Przypadek?

Wróćmy jeszcze na chwilę do osoby L. Kalksteina. Można przyjąć hipotezę, że skoro L. Kalkstein w jakiś tam, znany sobie sposób wiedział, co będzie robił i gdzie będzie 30 czerwca 1943 roku gen. „Grot”, to powinien także przekazać Niemcom informację, iż Komendant Główny pójdzie na spotkanie ze sztabem w miejsce, gdzie znane L. Kalksteinowi. Tego jednak konfidencja nie zrobił. Ktoś może zapytać: może jednak nie znał miejsca spotkania? Gdyby znał, nie omieszczałby powiedzieć o tym Niemcom, dla których aresztowanie całego kierownictwa AK byłoby sprawą naprawdę wielkiej wagi. Ale L. Kalkstein mógł wiedzieć tylko o spotkaniu, nie znając jednak jego miejsca. Zgadza się, że tak też mogło być, co nie oznacza, że ten gorliwy informator nie doniósłby o tym Niemcom, którzy z kolei wiedząc od Kalksteina o spotkaniu, powinni, przesłuchując Komendanta Głównego, zapytać go o miejsce mającego nastąpić spotkania. Tego jednak nie zrobili, co może oznaczać, że nie było nie im wiadomo o jakimkolwiek zebraniu sztabu Komendy Głównej.

Rację ma więc chyba autor listu pisząc:

„Nie była więc przypadkiem ta zdrada, precyzyjnie zaplanowana i wykonana. Chodziło jedynie o osobę dowodzącą a nie o cały sztab KG AK. Komuś zależało, aby właśnie tak się stało. Kto miał interes, aby ofiarą padł tylko jeden człowiek?”

Autor listu nie może wskazać osoby, która przekazała L. Kalksteinowi informację o tym, co będzie robił i gdzie będzie gen. „Grot” 30 czerwca 1943 roku. Uważa jednak, że genezy i przyczyn aresztowania należy szukać analizując sytuację polityczną jaka wytworzyła się w 1943 roku.

„Rok 1943 był początkiem poważnych przegrupowań politycznych w kraju. Polaryzowały się stanowiska osób poważnie traktujących los przyszłej Polski. Obok walki z Niemcami hitlerowskimi, coraz wyraźniej rozpalali się walki wewnętrzne. Mordy polityczne nie były wyjątkiem. Gen. „Grot” — Rowecki stał się ofiarą gry politycznej. Front wschodni zbliżał się i decyzje były coraz bardziej radykalne. Podejmowano próby ratowania dawnej Polski oraz montowania frontu walki z komunistami. Widocznie gen. „Grot” nie był takiej polityce przychylny”.

Kiedy w styczniu 1942 roku powstała Polska Partia Robotnicza ogłaszając swoją deklarację: „Do robotników, chłopów, inteligencji, do wszystkich patriotów polskich”, jasnym się stało, że oprócz ugrupowań politycznych skupionych w rządzie emigracyjnym, pojawiła się siła, z której zdaniem, czy ktoś tego sobie życzył, czy też nie, trzeba się będzie liczyć. Zdawał sobie z tego sprawę zarówno premier rządu emigracyjnego gen. Władysław Sikorski, jak również Komendant Główny AK gen. Stefan Rowecki — „Grot”. Faktem jest, że poglądy ich nie były wtedy zbliżone z poglądami polskiej lewicy, co nie oznaczało automatycznie niechęci z powstawaniem i działalnością PPR. Rząd emigracyjny obligowany był niejako do tego, chociażby z chęci utrzymania dobrych stosunków z ZSRR, z którym, jak wiadomo, zawarty został w 1941 roku układ. Poza tym zmuszała także do tego sytuacja jaka zaistniała na froncie wschodnim; pod Stalingradem.

Pierwszy krok w kierunku wypracowania wspólnego stanowiska między lewicą a obozem londyńskim uczyniła PPR, wysyłając do Delegatury Rządu list otwarty (15.I.1943 roku), w którym to liście proponowano przyznanie PPR wpływów na sprawy polityczne na równi z innymi organizacjami i partiami politycznymi. Odpowiedział niejako rząd londyński było nawiązanie kontaktu i rozpoczęcie rozmów z przedstawicielami KC PPR. Zadania tego podjął się Delegat Rządu Jan Piekalkiewicz (Ludowice). Jednakże niechętnie stanowisko większości kierowniczych instancji stronnictwa popierających rząd emigracyjny doprowadziło do zerwania przez PPR rozmów z Delegaturą Rządu. Główną przyczyną były żądania Delegatury Rządu, domagające się, między innymi, opublikowania przez PPR deklaracji o całkowitej niezależności od niepokojących środowisk dyspozycyjnych oraz uznania nienaruszalności granic państwa polskiego z 1939 roku. Poza tym, PPR nie chciała uznać rządu emigracyjnego za wyłączny kierowniczy czynnik w sprawach kraju i walki narodu, uważając jedynie funkcje rządu emigracyjnego w zakresie „utrzymywania stosunków z państwami sojuszniczymi i rozwoju polskiej siły zbrojnej”.

Dodać również należy, że rozmowom z przedstawicielami KC PPR był niechętny Komendant Główny AK gen. „Grot”. Nie można więc zgodzić się z tezą autora listu, że nie był on przychylny polityce „montowania frontu walki z komunistami”. Wystarczyło zażreć do pracy J. M. Ciechanowskiego „Powstanie warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego” (Warszawa 1984), w której autor analizując bardzo dokładnie rację polityczną gen. „Grot” dochodzi do wniosku, że jednym z jego celów było niedopuszczenie do wzrostu wpływów PPR. Tak więc tym tropem nie należy, moim zdaniem, iść dalej.

Wiadomo jest, że gen. W. Sikorski podpisał w 1941 r. układ z ZSRR, gdyż tego wymagała polska racja stanu, jak również ówczesne realia polityczne. Wiadomym jest również, że potem nastąpił kryzys rządowy; wzmożła się opozycja przeciwko premierowi. Część ministrów, która nie poddała się do dymisji, była w dalszym ciągu przeciwna utrzymywaniu poprawnych stosunków z ZSRR. Uważano, nawet jeszcze w 1944 roku(!), że wyzwolenie Polski „przysię” z Zachodu. Nie liczone się absolutnie z tym, że Armia Radziecka wyzwoli nasz kraj spod okupacji hitlerowskiej.

Od 1941 roku, a więc prawie od momentu podpisania układu, stosunki polsko-radzieckie, mimo pozorów ze strony rządu emigracyjnego, cały czas „wisiały na włosku”. W kwietniu 1943 roku ZSRR zerwał układ z Polską. Była to jednocześnie klęska polityki premiera gen. W. Sikorskiego (też był w dużym stopniu odpowiedzialny za taki stan rzeczy), który mimo wszystko pragnął przywrócić stosunki z ZSRR, gdyż zdawał sobie sprawę (przypominam, że wiosną 1943 roku — to kontrofensywa Armii Radzieckiej na całym froncie wschodnim), że oswojenie Polski przysię z Zachodu. Nie można więc zgodzić się z następną tezą autora listu, że gen. „Grot” nie podejmował prób ratowania dawnej Polski. Była to koncepcja oparta na porozumieniu z ZSRR, co nie odpowiadało dużej części rządu emigracyjnego, jak również Komendzie Głównej AK, uważających, że nie powinno być żadnego porozumienia z ZSRR. Jeżeli autor listu rozumował w taki sposób, to faktycznie gen. „Grot” takiej polityce nie był przychylny, podobnie jak gen. W. Sikorski.

Sądze, że to prawda, co pisze T. Tanaś, że gen. „Grot” stał się ofiarą gry politycznej. Zarówno on, jak i gen. W. Sikorski. Widzimy jednak, że była to bardzo subtelna, a zarazem szalenie wyrafinowana rozgrywka polityczna, której skutkiem stało się aresztowanie gen. „Grot” i katastrofa lotnicza, w której zginął gen. W. Sikorski.

DARIUSZ DREWNICZ

JAK NALEPIJ POKAZAĆ NASZ CZAS

Wojewoda Lubelski, Tadeusz Wilk i Zarząd Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Zarządu Głównego ZLP, ogłosili na początku 1986 r. ogólnopolski konkurs na powieść lub zbiór opowiadań. Siedemdziesięciu pięciu pisarzy — w tym wielu wybitnych i znanych — przyjęło zaproszenie do udziału w zamkniętej części tego przedsięwzięcia. Konkurs jest nadto imprezą otwartą dla wszystkich piszących i trwa do końca grudnia 1987 roku. Rozstrzygnięcie nastąpi w maju 1988 roku.

Jury pracować będzie w składzie: Tadeusz Białecki, Maciej Chrzastowski, Feliks Fornalczyk, Waldemar Michalski (sekretarz), Witold Nawrocki (przewodniczący), Janusz Termer i Bogusław Wróblewski. Przysięga ono następujące nagrody:

I nagroda	— 250.000 zł;
dwie drugie nagrody po	— 200.000 zł;
trzy trzecie nagrody po	— 150.000 zł;
cztery czwarte nagrody po	— 100.000 zł;
pięć wyróżnień I stopnia po	— 50.000 zł;
dziesięć wyróżnień II stopnia po	— 25.000 zł;
Razem dwa miliony złotych.	

Jury może dokonać innego podziału tej sumy. Pewną ilość nie nagrodzonych i nie wyróżnionych książek zarekomenduje ono wydawcom, których organizatorzy pragną pozyskać dla idei konkursu. Chodzi o to, aby plan tego przedsięwzięcia w II połowie 1989 roku mógł już funkcjonować w księgarniach i bibliotekach.

Powieści i zbiory opowiadań (stanowiące jednak odpowiednio pomyślaną całość), należy nadsyłać do 31 grudnia 1987 roku, w objętości co najmniej 8 arkuszy autorskich (około 170 stron znormalizowanego maszynopisu, po 30 linijek) przynajmniej w 3 egzemplarzach pod adresem: Związek Literatów Polskich 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9. Telefon sekretariatu konkursu: kierunkowy 234-49. Prace powinny być opatrzone godłem. Do przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z tym samym godłem na zewnątrz, a w środku zawierającą imię i nazwisko, dokładny adres autora, tytuł książki i to samo godło. Liczba prac nie jest ograniczona. Nie mogą być one drukowane ani we fragmentach, ani w całości, ani też uczestniczyć w innych konkursach.

Organizatorzy spodziewają się utworów o najwyższych wartościach literackich, a więc takich, które dorobek naszej kultury narodowej pomnożą, ukażą w swej bogatej i skomplikowanej gamie problemy społecznej rzeczywistości, z uwzględnieniem naszej współczesności.

Termin nadsyłania prac nie zostanie przedłużony.

„KIEDY WODA NA KARTKI”

Z niewielkim opóźnieniem przeczytałem po powrocie z zagranicy artykuł Eugeniusza Iwanickiego „Kiedy woda na kartki?”. Cieszę się, że „Odgłosy” porusza problem ochrony środowiska, kładąc nacisk na sprawy najbliższe Łodzi i województwu łódzkiemu. I tak powinno być, gdyż zasada, bliższa człowiekowi, powinna obowiązywać we wszystkich naszych działaniach, mających na celu zapobieżenie ekologicznej katastrofie.

Ma rację autor pisząc o potrzebie szczególnej ochrony Zalewu Sulejowskiego. Ale nie wystarczy to wyartykułować w gazecie, to przecież niczego jeszcze nie załatwia. Powinno o tym wiedzieć władze administracyjne Łodzi i woj. łódzkiego, które tę szczególną ochronę muszą usankcjonować prawnie, a przede wszystkim doprowadzić do jej praktycznego egzekwowania. I to w interesie nas wszystkich. Tych, którzy chcą nad Sulejowskim Zalewem wypoczywać i tych, którzy muszą (bo nie mają innej możliwości) pić z niego wodę. Wpływ zaś na jej czystość ma wiele czynników.

Między innymi sposób, w jaki wczasowicze i turyści korzystają z samego zalewu, terenów i lasów położonych nad nim. A ten jest skandaliczny. Nikt nie liczy się z żadnymi przepisami, nie mówiąc o przyjętych zwyczajach. Samochody jeżdżą wszędzie, śmieci rzucają się w dowolnych miejscach, do wody wylewa się nieczystości, potwornie niszczące jest poszycie leśne itd. itp. Zjawisko to powiększa się z roku na rok! Zalew stał się już celem zbiorowych wycieczek z regionu Śląskiego, Kieleckiego, a nawet z Krakowa. Tego żywiołowego naporu może nie wytrzymać nie tylko łódzki las, ale i wody zalewu, które ze względu na potrzeby Łodzi nie mogą przypominać zmaczonego bajora.

Myślę, że Eugeniusz Iwanicki odniesie spory sukces, jeśli doprowadzi swymi publikacjami do ograniczenia tych groźnych zjawisk.

JAN MAĆKOWIAK
(Radomsko)

JEDNO MAM ŻYCIE

Takie hasło otrzymała III edycja ogólnopolskiego Turnieju Reporterów im. Melchiora Wańkowicza, którego organizatorem są „Kontakty”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza oraz Wydział Kultury i Sztuki UW w Łodzi.

Tzw. życie można rozpatrywać różnorako. Nas nie interesuje jednak ono z punktu widzenia wieczności, czyli Salomonowej mądrości, ani też pod kątem Owidiuszowego biadolenia, iż „Czas upływa, a my się strzeżemy wraz z cicho biegającymi latami”.

Chcielibyśmy prosić uczestników turnieju o refleksję nad życiem takich ludzi, którzy przełamali tyranię zwyczaju i zrobili więcej, niż wymagał od nich tego obowiązek; którzy nie zrażeni niepowodzeniami własnymi i cudzymi, nie rezygnowali ze swoich dążeń czy racji tylko dlatego, aby mieć spokój i wielu przyjaceli, którzy jeśli błądzili, to nie z głupoty, lecz z pobudek serca, czego często rozum nie pojmuje. Bowiem różne są miary wartości i sukcesu, co dla jednych bywa symptomem udatności, dla innych symbolem zwycięstwa, w zależności od tego, czyje dobro jest dla nich najważniejsze.

Nie szukajmy przeto bohaterów, którzy na pytanie: „Co robiłeś?” mogą jedynie odpowiedzieć: „Żyłem”, ale nie omijajmy tych z życiem „złamanym”, „zmarnowanym” czy „zwichniętym”, jeżeli ich tragedie wynikły ze źle wybranych celów czy z pomyłek w sposobach ich osiągania.

Prace w trzech egzemplarzach (do 12 str. maszynopisu znormalizowanego), wcześniej nie publikowane, opatrzone godłem i zamkniętą kopertą z danymi o autorze, należy nadsyłać do końca lutego 1987 r. pod adresem redakcji „Kontakty”: ul. Świerczewskiego 7a, 18-400 Łomża. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwotnego nadesłanych reportaży, a za tematy wzięte z Łódzkiego (udokumentowane i zakwalifikowane do druku) przysługują wadium (po otwarciu kopert) wysokości 15 000 złotych.

Jury w składzie: Stefan Kozicki (przewodniczący), Jan Biłak, Krystyna Goldbergowa, Leon Janczak, Andrzej Mularczyk, Stanisław Zagórski i Stefania Henczelowa (sekretarz) — ogłosi wyniki w kwietniu 1987 r. i przysięga:

— Medal Melchiora Wańkowicza i nagrodę wysokości 100 000 złotych oraz pięć wyróżnień po 40 000 złotych każde. Ogólna suma wyróżnień może zostać podzielona inaczej.

ROCK DLA POKOJU

17 października 1985 roku, ponad pięćdziesięciu młodych ludzi, zgromadzonych w gdańskiej hali „Olivia”, trzymając się za ręce, wspólnie ze swoimi rockowymi idolami, śpiewał refren pewnej piosenki:

„Jesteśmy Armią Świątą,
Armia Spokoju, Sere...”

Był to finał niecodziennego, gigantycznego, ponad pięciodziesięcogodzinnego koncertu, zorganizowanego przez kilku zapaleńców pod hasłem „Rock dla pokoju — Młodzież na rzecz pokoju”. W dorocznym plebiscycie „Non-Stop”, koncert ten został uznany za jedno z największych muzycznych wydarzeń w Polsce, plasując się na II pozycji w kategorii najlepszych imprez roku, bezpośrednio za festiwalem w Jarocinie. Powodem tego na tyle ośmieliło organizatorów, że postanowili oni pod tym samym hasłem „Rock dla pokoju — Młodzież na rzecz pokoju” imprezę kontynuować, co roku zapraszając do udziału obok zespołów najbardziej znanych i popularnych wykonawców młodzież i początkujących, stwarzając im w ten sposób niepowtarzalną szansę występu i sprawdzenia swoich umiejętności przed wieloletnią publicznością, obok uznanych sław polskiej muzyki rockowej.

W tym roku koncert „Rock dla pokoju” zaplanowano na 6 grudnia o godzinie 18.00, ponownie w gdańskiej hali „Olivia”. Jako wykonawcy pojawiają się m. in. zespoły „Kult” oraz „Dżem”, trek Dudek w trzech wcieleniach, czyli formacja bluesowa i big-band Ireneusza Dudka i oczywiście Shakin’ Dudi.

Uwaga! Zapowiada się sensacja — w tej ostatniej postaci Dudek ma się pojawić po raz ostatni na polskich scenach, a zatem wspólnie żegnamy Shakin’ Dudiego.

A także młode grupy gdańskie: „Korba”, „Jaguar” i „Pancerne rowery”. Ponadto w finałowej piosence zaśpiewają gościnnie: Martyna Jakubowicz, Małgorzata Ostrowska, Urszula i Marek Piekarczyk. Przygotowano też występ — niespodziankę.

Organizatorami koncertu są: Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Gdańsku, Młodzieżowe Centrum Kultury w Gdyni oraz III Program Polskiego Radia. Bilety (w cenie 500 zł) już do nabycia w Gdańsku, Gdyni i Sopocie. Dla wszystkich chętnych spoza Trójmiasta organizatorzy rezerwują tysiąc biletów, które zostaną rozdane dopiero w dniu koncertu.

MIGAWKI

I. O czystości

Narzekamy regularnie na służby komunalne, że śmieci nie wywożą, lub wywożą od czasu do czasu. Te zaś tłumaczą się a to trudnościami kadrowymi, brakami w sprzęcie, odległościami (coraz większymi) do legalnych zyspisk śmieci, no i całą gamą tak zwanych trudności obiektywnych.

Mamy, jak sądzę, ustalony stosunek do tych tłumaczeń, lecz faktem również jest, że kosze uliczne do śmieci bywają coraz bardziej wykorzystywane. Naprawdę — nie każdy łodziński rzucąca byle papier na ulicę, Miedzy innymi dotyczy to przystanków tramwajowych i autobusowych. Tu zaś współodpowiedzialnym za porządek jest MPK. I dlatego twierdząc, że to, co się ostatnio dzieje na przystankach, to skądś dał Przepelnione kosze, których nikt nie opróżnia. Od czasu do czasu pożar od niedopałka. Czy MPK również nie ma siły i środków, aby utrzymać w jakim takim porządku przystanki? O stanie wiat (przed zimą) nie wspomnę. O czystości wagonów — również nie.

II. O martwocie

Przed „Collegium Anatomicum” Akademii Medycznej w Łodzi przy ul. Narutowicza — od lat stoja cztery wysokie toonie Ostatnio — dwie z nich — martwe Nomen omen? Czy AM czeka, aż wyrzuci ją służby miejskie czy też nie może zorganizować usunięcia uschniętych drzew i posadzenia w to miejsce innych, które za kilkanaście lat będą cieszyły wzrok naszych dzieci lub wnuków? Czy na taką okazję trzeba organizować specjalną akcję?

III. O „złotej rączce”

Wyśmiewano ongiś „złotą rączkę”, że motyką i „mesłem” reperuje auto. Dziś mamy wysoko zróżnicowaną specjalizację. A ja żałuję dawnych czasów. Bo dziś pan stusarz od wody i kurków nie chce się zabrać do zamków, a specjalista od podłóg nie rozmawia ze mną o naprawie szafy. Po co mu to?

I tak zamawiamy po kolei różnych specjalistów, którzy do rachunków dopisują Bóg wie co. Oczywiście — każdemu się należy! Tylko co to ma wspólnego ze zdrowym rozsądkiem?

W. AFFIT

Ambasada załatwiła mi spotkanie z profesorem Migueliem Wionczkiem, wielkim autorytetem moralnym i naukowym. Przyjął mnie w Colegio de Mexico. Oświadczył, że nie pada mi recepty na meksykański kryzys i że wolałby nie zabierać głosu na temat polsko-meksykańskich stosunków handlowych. Prawdziwą pasją profesora jest rozbijanie. Tuż przed podróżą Miguela de la Madrid do Stanów Zjednoczonych brał udział w spotkaniu „Grupy Sześciu”, ale nim zaczął o tym mówić (notowałem), poprosił, żebym otworzył nawias. Dowiedziałem się dzięki temu kilku szczegółów z jego długiego i barwnego życia.

Skończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Był w Algierze. Do Polski wrócił dwa dni przed wybuchem II wojny światowej, przedostatnim pościągami ze Strasburga. Całą okupację spędził w podziemiu.

— Z 236 ludzi mojego pokolenia przeżyło trzech. Stałem pod ścianą na Powiślu. Zdobywałem Berlin. Byłem na procesie norymberskim. Bezpośrednio po tym odleciałem do Nowego Jorku i przez siedem lat pracowałem w ONZ. Nie chciałem wracać do Polski Bie-ruta. Ale nie podobały mi się również stosunki w USA. Wyemigrowałem do Meksyku i zacząłem wszystko od początku. Nie znałem języka, nie znałem ludzi, nie znałem obyczajów. W siedemnaście lat później zostałem osobistym doradcą prezydenta Meksyku. To się liczy. Mają do mnie zaufanie. Teraz nie jestem Polakiem. Jestem Meksykaninem. Ale często odwiedzam Warszawę. Bywam w Związku Radzieckim. W misjach pokojowych i naukowych. Podróżuję nieustannie po świecie. Znam sto kilkadziesiąt krajów, wszystkie kontynenty. Krótka jest lista państw, do których nie jeżdżę. Kiedyś była na niej Argentyna, Brazylia i frankistowska Hiszpania, a obecnie RPA i Chile.

Zadumał się i powiedział, że może zamknąć nawias. Przez szeroką, oszkloną ścianę gabinetu widać było okalające stolicę wzgórza: wielkie, niezdolone, piękne, zaciągnięte chmurą, która zwiastowała deszcz. Ale w sercu sędziwego profesora świeciło słońce.

Metafora prosto z Orzeszkowej. Tak czy owak, góry za oknami Colegio de Mexico naprawdę wyglądały ponuro i groźnie, profesor zaś dopatrzył się w nich jedynie pożywki dla twórcy.

— Wolał o pędzel malarza — zauważył. Mówił z lekkim uśmiechem i powoli, dzięki czemu słowa nabierały dodatkowych znaczeń. Wdarem się w to ze swoją niecierpliwą ciekawością.

— Pan naprawdę wierzy, że można uchronić świat przed konfliktem nuklearnym?

Profesor, trochę jakby zdziwiony, przytaknął parokrotnie wysokim, zmarszczonym czołem.

— Wierzę, oczywiście, że wierzę. Jestem nawet o tym przekonany, podobnie, jak tysiące innych intelektualistów, którzy walczą o pokój. Gdyby było inaczej, siedzielibyśmy z zadowolonymi rękami w fotelach i czekali, aż się do wszystkich rozpęta. Tymczasem mamy świadomość, że nasze wysiłki są celowe, że wiele od nich zależy, że nasze działania i spotkania, będące wedle fałszywych przypuszczeń częścią gadaniny i niepotrzebną stratą czasu, wpływają w ogromnym stopniu na opinię światową i poczynania polityków, których nie wolno pozostawiać samym sobie. Kiedy krzyczymy: nie! w mózgach ludzi odpowiedzialnych za losy cywilizacji siłą rzeczy budzi się refleksja. Niech pan przez moment nie sądzi, że jest inaczej. Siedział pan ostatnie pół godziny „Grupy Sześciu”?

Potwierdziłem. Byłem zresztą pod wrażeniem wystąpienia niektórych polityków i uczonych. Apokaliptyczną wizję końca świata przedstawił między innymi: astronom Carl Sagan i pisarz Gabriel García Márquez, który najpierw z właściwą sobie skrupulatnością pracował przez miesiąc nad owym siedmiostronicowym dziełem, zatytułowanym „El cataclismo de Damocles”, a potem odczytał je uczestnikom meksykańskiego spotkania „Grupy Sześciu” w dniu, dokładnie 41 rocznicy zrzućenia bomby na Hiroszimę. Była to wstrząsająca, poetycka wizja martwych oceanów, zlodowaciałej ziemi i pustego nieba, kronika, jakiej zdaniem jednego z dziennikarzy, nie potrafiłby odtworzyć żaden inny Márquez nawet za sto milionów lat.

Znakomity Kolumbijczyk za-

apelował w pewnej chwili do zebranych:

„Teraz i tutaj, natychmiast, powinniśmy zastanowić się nad wymyśleniem i konstrukcją ARKI PAMIĘCI zdolnej przetrwać atomową pożogę. Byłaby to butelka międzygwiazdowych rozbitków ciśnięta w ocean czasu po to, aby kiedyś nowa ludzkość dowiedziała się, że istniało już tutaj życie, że w życiu tym dominowało cierpienie i królowała niesprawiedliwość, ale była również miłość, a czasami nawet byliśmy zdolni wyobrazić sobie szczęście”.

Miguel Wionczek, wymieniany jednym tchem obok Garcil Marqueza, Carla Sagana, Kennetha Galbraitha oraz innych wybitnych osobistości, jest optymistą.

— Nie będzie konfliktu atomowego — powiedział.

— Ale skąd ta pewność, pa-

chcą pokoju i naprawdę nie chcą wojny.

— Myśli pan, że chcą jej Amerykanie?

— Oni również jej nie chcą. Najbogatszy i najpotężniejszy kraj świata ma być może więcej do stracenia, więc również chce pokoju, ale na innych warunkach.

— Skąd bierze się śmiałość Amerykanów?

— Z uwarunkowań historycznych, z odmiennego typu świadomości i odmiennych doświadczeń. Państwo, które w czasie drugiej wojny światowej straciło dwieście tysięcy ludzi, siłą rzeczy wyobraża sobie konfrontację zbrojną mniej tragiczną niż państwo, które straciło dwadzieścia milionów. To są po prostu proporcje krwi i śmierci, które w odmiennym stopniu działają na wyobraźnię obywateli narodów i ich przy-

Meksykiem rozwiła się gdzieś. Wciąż Orzeszkowa. Wciąż symbole. Przeczytałem tego dnia w nienaktualnym już „Excelsiorze” postanie, jakie osiemnastoro dzieci z pięciu kontynentów świata wystosowało do obradującej „Grupy Sześciu”:

„My, dzieci, nie żyjemy do nikogo nienawisci. Podobają nam się rzeczy dobre i ładne. Mamy swoje sny i swoje marzenia. Przyzwyczajaliśmy się do słońca i do kwiatów. Piękne są noce ze swoimi gwiazdami, piękny jest księżyc i szum deszczu i chłód wiatru. No i teraz powiada nam nauczycielka, że panowie pracują nad tym, aby wolno nam było dalej żyć i żeby nikt nie zechciał nas pozabijać. Oby powiodło się to panom! Oby okazało się prawdą i trwało wiele, wiele lat”.

Przeczytałem również dwie mądre konkluzje Kennetha Galbraitha:

aby Meksykanie sprolongowali pańską wizję, ale na wóz z ambasadą proszę nie liczyć. Wszystkie wozy są zajęte. Ja też jestem zajęty. Czekam więc pana samotna wędrownika od urzędu do urzędu i długie wyczekiwanie w kolejkach.

Konsul miał prawo być zły. Spadła mu na kark kolejna podejrzana grupa Polaków. Kobieta z dzieckiem. Obydwoje bez paszportów. Gdzie je zgubili? — nie wiadomo. Czy je w ogóle mieli? — nie wiadomo. Skąd wzięli się w Meksyku? — nie wiadomo. Przyszli parę dni temu do ambasady w towarzystwie mówiącego po polsku małżeństwa. Małżeństwo nie chciało okazać dokumentów ani przy bramie, ani w biurze konsula. Nie pańska sprawa, jak się nazywamy — powiedzieli. Mężczyzna, młody i bruchaty, nie zareagował na mój ukłon (by-

dnak przez dobry kwadrans byłem absolutnie przekonany, iż mam do czynienia z trzyosobową meksykańską rodziną: czterolatkiem, śladnym dzieckiem (dziewczynką), bardzo młodą, szczupłą i śliczną kobietą, której włosy i oczy były niby jasne, cera wszelako przypominała troskliwie wygolowaną miód, oraz czarniawym, korpulentnym, przystojnym na swój sposób mężczyzną w okolicach trzydziestki o twarzy przyozdobionej nikłym hiszpańskim wąsikiem.

Nagle stwierdziłem, że gość rozmawia z Grażyną po polsku. Och, nauczył się gdzieś paru słów. Tak myślałem, była to bowiem polszczyzna cudzoziemska niejako, kaleka i straszna. Odkryłem niebawem, że się mylę — był rodakiem. Sepelił z mrozącą pogardą:

— Nie podobuje mi się ten Meksyk, pani. Ludzie głupie, mamrotają coś pod nosem, człowiek nic nie rozumie. W kraju, pani, to zrozumie mnie każdy Polaczek, a tu same jakieś przyglupasy, nikt nie rozumie, nie! jakbyś gadał ze stodołą.

— Może nie zna pan po prostu hiszpańskiego języka? — zauważyła pogodnie Grażyna.

— A co to za język, pani? Lumbra, mumbra, belgoty, gulgoty. Pić mnie się chce, to mówię do jednego: „lora”, nie? „Lora”, pani, to je po amerykańsku woda, ale po ichniemu to je godzina i ten głuptok pokazuje mnie zegarek, jakbym nie miał swojego, nie? Strasznie przyglupasty naród, pani!

Zona przysłuchiwała się męzowskiemu wywodowi z palającym licem. Sądziłem, że to wstyd. Nagła przypuszczałem, że jest Meksykanka, gdyż miała na sobie cygański, niebawem pstrokaty strój, złote pantofle, kolczyki i wymalowane na czerwono paznokcie. Była śliczna, ale kiedy wyprodukowała uśmiech, błysnęły dwa srebrne piśki, wstawione zapewne dla ozdoby w miejsce zębów. Palila marlboro super king size, dym wypuszczała ustami i nosem.

Spojrzałem na gościa i pyta-

— Od dawna pan w Meksyku?

— Od dwóch dni, panie. W środę żeśmy przyjechali.

— Ale pańska zona nie jest chyba Polką?

— Jak to nie!? Zona je Polka, córka je Polka i ja jeżdem Polak. Wszystkie my jeżdeżmy Polaczki.

— Bardzo miło to cieszy — powiedziałem. — I co tu robicie?

— Państwo próbują zarezerwować trzy miejsca na jutrzejszy lot — wtrąciła z akcentem Grażyna.

— Do kraju?

— Tak.

— Szybko.

— Ech, szybko, panie, szybko! — przytaknął młodzieniec.

— Dzwoni pani do tego Aeroflotu!

— Na razie mają nieczynny komputer.

— A co mnie obchodzi komputer — wrzasnął rozsierdzony osilek i zaciął się piachy.

— Pieniędze za bilet to żeś wzięli, ino jak trza człowiekowi pomóc, to was nima.

— Proszę się uspokoić — tłumaczyła łagodnie Grażyna.

— Zrobimy wszystko, aby państwu pomóc, choć jest to sprawa Radzieckich Linii Lotniczych, a my działamy tylko grzeszcznością.

Rodak skinął pokojowo głową i umilkł. Jego zona tymczasem wzięła dziecko za rękę i przysiadła się do mnie. Miała smutne, podkrążone oczy. Byłem pewien, że chce ukość jakąś troskę, uderzyła jednak w inne struny.

— Panie, a można tu kupić banany?

— Oczywiście — rzekłem. — Banany, ananasy, kokosy, co dusza zapragnie.

— A buty?

— Buty meksykańskie są wspaniałe!

— A sukienki?

— Jeszcze ładniejsze.

— Dużo kolorów?

— Dużo.

Cierpliwość „osilka” wyczerpała się nagle. Podszedł, zechciał żonę na sąsiedni fotel i wyciągnawszy z kieszeni kłab pieniędzy, przystawił mi do oczu pięćset pesos.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Chwyt odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

nie profesorze? Skąd pan wie, że z tej chmury za oknem nie spadnie deszcz?

— Widzi pan, my, ludzie, którzy czynnie interesujemy się kwestią rozbijania i pokoju, a są wśród nas uczeni wszelkich dziedzin i specjalności, mamy w tej materii ogromną wiedzę. Nasza działalność nie ogranicza się do redagowania deklaracji. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły techniczne, lecz przypuszczam na przykład, że Stany Zjednoczone są w stanie zniszczyć Związek Radziecki 15-16 razy. Jest jeszcze druga strona medalu: ZSSR może zniszczyć USA tyleż samo razy. Uzyskanie przewagi nuklearnej i strategicznej nie zmienia faktu, iż w tej wojnie nie może być zwycięzców, iż nikt nie może zdobyć aż takiej przewagi, która gwarantowałaby mu bezpieczeństwo.

— A wojny gwiazdne?

— Nie ma i nie będzie takiego systemu obrony satelitarnej, w której nie byłoby dziur. Zresztą i w tym zakresie Związek Radziecki dysponuje argumentami odpornymi. Każdemu posunięciu Amerykanów towarzyszy kontrposunięcie Rosjan. Jest to taniec bez końca. Muszę jednak coś panu powiedzieć: ZSSR, pozornie słabszy, pozornie ustępujący, a w każdym razie bardziej skłonny do kompromisów, odniósł dzięki stałym i konsekwentnym gestom pokojowym Gorbaczowa ogromny sukces polityczny i ogromny sukces moralny. Niech pan prześledzi uważnie prasę światową, także prasę amerykańską, aż się do wszystkich rozpęta. Tymczasem mamy świadomość, że nasze wysiłki są celowe, że wiele od nich zależy, że nasze działania i spotkania, będące wedle fałszywych przypuszczeń częścią gadaniny i niepotrzebną stratą czasu, wpływają w ogromnym stopniu na opinię światową i poczynania polityków, których nie wolno pozostawiać samym sobie. Kiedy krzyczymy: nie! w mózgach ludzi odpowiedzialnych za losy cywilizacji siłą rzeczy budzi się refleksja. Niech pan przez moment nie sądzi, że jest inaczej. Siedział pan ostatnie pół godziny „Grupy Sześciu”?

Potwierdziłem. Byłem zresztą pod wrażeniem wystąpienia niektórych polityków i uczonych. Apokaliptyczną wizję końca świata przedstawił między innymi: astronom Carl Sagan i pisarz Gabriel García Márquez, który najpierw z właściwą sobie skrupulatnością pracował przez miesiąc nad owym siedmiostronicowym dziełem, zatytułowanym „El cataclismo de Damocles”, a potem odczytał je uczestnikom meksykańskiego spotkania „Grupy Sześciu” w dniu, dokładnie 41 rocznicy zrzućenia bomby na Hiroszimę. Była to wstrząsająca, poetycka wizja martwych oceanów, zlodowaciałej ziemi i pustego nieba, kronika, jakiej zdaniem jednego z dziennikarzy, nie potrafiłby odtworzyć żaden inny Márquez nawet za sto milionów lat.

12 ODGŁOSY

— Poza tym Amerykanie przełamali już kompleks atomowego ataku. Stworzyli precedens, a nawet dwa: Hiroszimę i Nagasaki. Grzech pierworodny popelnia się trudno, potem opory maleją.

— Oczywiście. Ale nie przeceniałbym tego faktu. Hiroszima i Nagasaki działają także w odwrótną stronę. Są plamą, której nie zmyje czas. Budzą poczucie winy.

— Twierdzi pan profesor, że nie będzie wojny nuklearnej. Czy wyklucza pan również przypadki? Co sądzi pan o pomysły komputera, o fałszywym alarmie, o pilanym kapralu na poligonie atomowym? — Dużo bardziej obawiam się drobnych incydentów w Azji Mniejszej, w północnej Afryce i Ameryce Centralnej. Trzeba na to dmuchać.

— Nie jestem znawcą przedmiotu, panie profesorze, ale nurtuje mnie jeszcze jedna rzecz: urażona ambicja polityka, uczucie, które może udzielić się najpierw siłom zbrojnym, a potem całemu narodowi. Ktoś rzuci niepotrzebne słowo, ktoś kogoś obrazi albo zestrzeli mu samolot, i do głosu dochodzi pycha. Kim by nie był i jakiego starzyśka by nie piastował — człowiek jest tylko człowiekiem i w chwilach gniewu, kiedy zaślepią go nienawiść, potrafi nacisnąć guzik.

— Pan jest jeszcze młody — powiedział profesor Wionczek. — Starość nie kieruje się emocjami i umie panować nad pychą.

Był niewątpliwie wspaniałym i mądrym człowiekiem, ale nie przekonał mnie do końca. Kiedy wracałem jednak, tym razem samochodem ambasady, do hotelu, burzowa chmura nad

„Wydaje się, iż prawdziwa władza jest w ręku wojskowych. Obserwujemy ich. Niech nie umknie naszej uwadze ich rosnąca siła. Analizujemy ich stosunki z uczonymi i politykami”.

„Należy czym prędzej rozbić monopol na naukowe informacje o Wojnach Gwiazdnych, który pozostaje tymczasem w gestii dwóch supermocarstw, a powinien być dostępny dla wszystkich”.

W piątek, 15 sierpnia 1986 r. przed południem, byłem w biurze Polskich Linii Lotniczych w sprawie przebudowania biletu powrotnego do kraju z najbliższej soboty na przyszłą. Tego ranka otrzymałem z Warszawy telex, iż sponsor: Ministerstwo Handlu Zagranicznego i „Metalexport” wyrażają zgodę, abym przedłużył pobyt w Meksyku o tydzień. Ucieszyłem się, ale byłem równocześnie zdenerwowany. Nazajutrz mógłbym odlecieć bez przeszkód, gdyż miałem zrekonfirmowane miejsce w Aeroflocie. Co będzie jednak za tydzień? Czy Rosjanie wciągną mnie na listę pasażerów? Czy Meksykanka przedłuży mi wizę? Głos wewnętrzny podjudzał, aby zaoszczędzić nerwów i powrócić najbliższym samolotem. Po przedniego dnia biegalem boś w pokoju, strzeliłem nogą w kant szafy i, wstyd powiedzieć, złamałem palec — ten mały, niepotrzebny, bolący jednak jak cholera i mściwy. Stopa spuchła. Kuśtykałem. A tu trzeba chodzić. Chodzić! Konsul Kwiatkowski oświadczył:

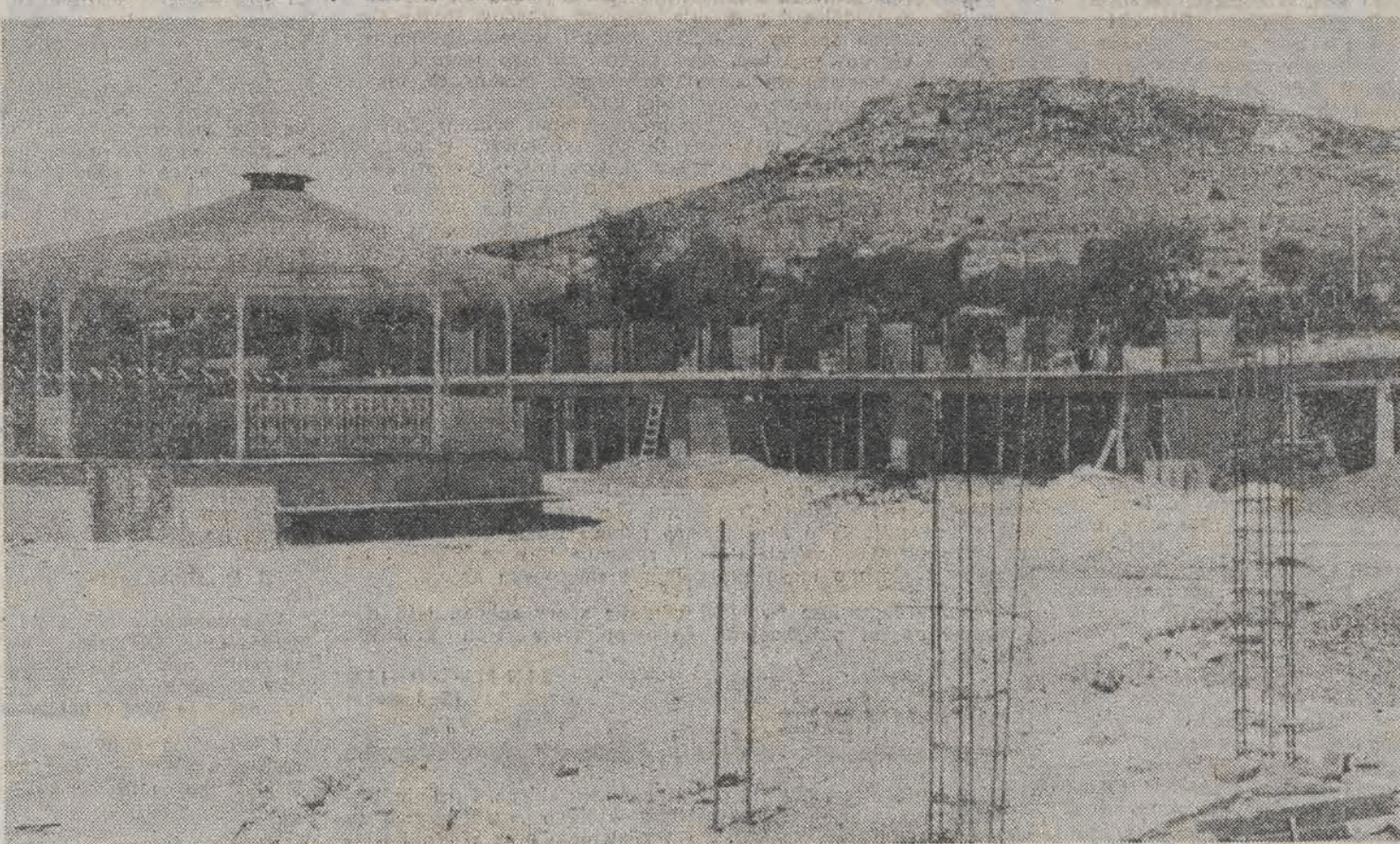
— Wystosuję pismo z prośbą,

lem wówczas w ambasadzie w sprawie spotkania z profesorem Wionczkiem, ot, wszedł z dzieckiem kobiety do ogrodu i zaczęli kopać piłkę, kobieta zaś krzyczała na konsula, że życzy sobie otrzymać natychmiast paszport zastępczy i bilet powrotny do kraju. Nie umiała przy tym powiedzieć, kiedy ten kraj opuściła (przed paroma laty), jakim przebiegiem granicznym (nie pamięta), jakim środkiem transportu (nie pamięta), w jakich krajach przebywała (nie pamięta), gdzie jest mąż (nie wie) i tak dalej.

Na domiar złego ostatniej nocy (z czwartku na piątek) budząc wszystkich domowników ktoś zatelefonował do prywatnej rezydencji ambasadora (tajemnicą pozostaje, w jaki sposób zdobył numer) z hibiową wieścią, iż został haniebnie okradziony, więc chciałby ewentualnie dostać trochę pieniędzy, mogą być dobre.

Nic dziwnego, że konsul trzymał się za głowę. Ja też. Palec narywał. Termin pilni. Pani Grażyna, sekretarka LOT-u, chciała wiedzieć, kiedy wyjeżdżam: jutro czy w następną sobotę. Aeroflot czekał pilnie na decyzję. Nie wolno blokować miejsca. Spadło napięcie: końcówki komputera w radzieckim biurze nie działały. Nikt nie mógł mi zagwarantować, że jeśli nie odlecie nazajutrz, będę mógł zrobić to za tydzień.

Gralem na zwłokę. Opuściłem na kilka minut oficynę LOT-u. Wypiłem kawę w bistrze i wróciłem. Usiadłem na kanapie pod ścianą, gdyż krzesła wokół biurka Grażyny były zajęte. Niby jestem bystry, a je-



C.D.N.

Używa pan tonu prokuratora, który prowadzi proces przeciwko Reaganowi.

— I nie zabrakłoby mi oskarżeń. Pierwszym, które stawiam przed innymi, jest polityka rekompensowania posiadających kosztem nie posiadających, czego nie mogę wybaczyć. Naturalnie Reagan nigdy tego nie powiedział, ponieważ w Stanach Zjednoczonych, jak w Europie, obłuda powoduje, iż nigdy się nie mówi, że program rządowy jest korzystny dla bogatych. Woli się używać miłych eufemizmów jak skuteczność, racjonalizacja, wydajność czy rynek. W konsekwencji — i to jest moje drugie oskarżenie — wymyślono wszelkiego rodzaju kłamstwa, „cover up”, aby ukryć tę prawdę, tworząc trwały klimat kłamstwa w Waszyngtonie.

— Jeszcze raz teorie i przewidywania ekonomistów poniosły klęskę w obliczu wielkiej niewiadomej władzy i jej obyczajów, a „czarna różnica” pochłania doktryny ekonomiczne, jak pan sam napisał w „zamożnym społeczeństwie”.

sprawie liberalizmu i zawsze przewidywałem jej zwycięstwo.

— I tak między porażką lewicowych profesorów i politycznym przypływem dobrobytu „sumienie społeczne” Ameryki, które wydawało się w zaniku dziesięć lat temu, teraz uszło. Czy Reagan na zawsze je zwarzy?

— Nie chcę być pesymistą, ale nie chcę też robić sobie złudzeń. Zwrot na prawo jest głęboki i będzie trwał. Odpowiada on bowiem uniwersalnej instytucji niezmiennie mocnej we wszystkich społeczeństwach, to znaczy wyrzuceniu problemu ubóstwa z własnej świadomości. Jest to forma odrzucenia psychologicznego bardzo podobna do formy odrzucenia problemu wojny jądrowej. Wszyscy wiedzą, że problem istnieje, ale wszyscy mamy chęć powiedzieć „no cóż, myślimy o czymś przyjemniejszym. Nie ma Amerykanina, który by nie wiedział, że po wsiach, w miejskich gettach South Bronx czy Harlemu, na Południu, warunki życia ludzi są gorsze niż były kiedykolwiek i stale się pogarszają. Ale tendencja popierana przez Biały Dom jest myślenie

o czym innym, o tym, z jakiego dobra korzystamy.

— Przyzna pan, profesorze Galbraith, że powodzenie tej formy zbiorowej amnezji jest niematerialnym sukcesem dla polityki.

— Istotnie, istotnie. Reagan znalazł cudowną formułę do uspokojenia sumień klas średnich i wyższych średnich oraz do stłumienia poczucia winy. Wyjaśnił, że Ameryka już nie pracowała dlatego, iż bogaci nie robili dość pieniędzy, a ubodzy mieli ich za dużo dzięki ubezpieczeniu społecznemu. A zatem wystarczyło dać więcej pieniędzy tym, którzy już mieli, a odebrać tym, którzy mieli mniej, aby puścić w ruch maszynę gospodarczą. To wspaniały wynalazek polityczny. Ci, którzy w tych latach pod opieką Reagana bogacą się, nie tylko korzystają z pieniędzy, ale uważają, że gromadzenie dalszych funduszy kosztem tych, którzy ich nie mają, jest obowiązkiem patriotycznym dla dobra Ameryki.

— A przecież pan — jak mówi — nie jest do końca pesymistą. W gruncie rzeczy popiera pan taki sam błąd, jaki panu zarzuca Ameryka: pan też, profesorze, woli myśleć o przyjemnych sprawach.

— Zgadza się z moim przyjaciелеm profesorem Schlesingerem, kiedy mówi, że polityka amerykańska funkcjonuje zawsze cyklicznie, a sukces reaganizmu doprowadzi do stworzenia opozycji dyalektycznej, a zatem do innego cyklu.

— A skąd przyjdzie ta dyalektyczna odpowiedź pod adresem „zachowawczej rewolucji”?

— Przyjdzie ze strony tych, którzy płacą cenę reaganizmu i ze strony sił politycznych, które tworzą potencjał wyborczy. Ale jedno jest pewne: ubodzy, czarni, wykluczeni z reaganowskiego bankietu muszą sami potwierdzić własną siłę polityczną. Będą mogli tylko cierpieć albo gwałtownie buntować się, a to mi się wcale nie podoba. Jestem liberałem, nie z altruizmu, ale z egoizmu, bo głęboko Kocham pokój i spokój społeczny i w tym się doskonale czuję.

— W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ludzie też woleli patrzeć w inną stronę i korzystać z powojennego dobrobytu. Kiedy getta wybuchły, nikt ani gazety, ani uniwersytet, ani tacy guru jak pan nie przewidzieli tego.

— Tak, tak, ale epoka, kiedy my liberałowie, my ludzie lewicy czuliśmy się odpowiedzialni za wszystko, skończyła się. Mniejszości, czarni, ubodzy muszą wziąć na siebie odpowiedzialność demokratyczną i wykorzystywać prawa wyborcze, które mają w pełni do dyspozycji. Nie można siedzieć w domu w dniu wyborów, oskarżając innych o niewrażliwość i dyskryminację, bo ci, którzy głosowali, wybrali Reagana. (...)

— Proszę mi odpowiedzieć tak albo nie: czy idziemy w

któregoś nowego krachu jak w 1929 r.?

— Tak, obawiam się, że tak i wythumaczę panu dlaczego. Ale najpierw niech pan zamknie oczy i chwilę odpocznijmy.

Z pokoi na pierwszym piętrze, w tym chłodnym półcieniu lata bostońskiego, do biblioteki, w której John Kenneth Galbraith, ostatni liberalny amerykański „guru” prowadził proces lewicy przeciw śledztwu reaganowskiemu latem, dochodzi echo stłumionych hałasów. „To służąca indyjska, którą przywoziłem z New Delhi przed 20 laty”, mówi przenosząc się jeszcze raz w przeszłość, w młot i znaków tak odmiennych od obecnych, kiedy Kennedy wysłał do Indii jako swojego ambasadora profesora Harvardu. Kiedy słowo „intelektualista” nie skłaniało prezydentów do natychmiastowego ukrywania się za kamerą telewizyjną.

Możemy znów zacząć, podejmując Galbraith, którego 78 lat uczyniły słabszym, ale nie ugęty go. Jego kot, który od godziny obwachuje mi kieszki, ostatecznie uклада się przy mnie na kanapie. Pokój jest

„Obwinianie ekonomistów nie jest fair”

Rozmowa z NITĄ WATTS profesorem Oxford University (prof. N. Watts uczestniczyła w międzynarodowej konferencji naukowej pt. „Procesy międzynarodowej integracji regionalnej w gospodarce światowej” zorganizowanej przez Instytut Ekonomii Politycznej UL w dniach 23—25.X.88 w Podklasztorzu).

— Co zmieniło się w angielskiej myśli ekonomicznej od czasów lorda Johna M. Keynesa?

— Przypuszczam, że nadal wielu ekonomistów akceptuje myśl keynesowską. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę kierowanie gospodarką, to pojawia się ważny problem, którego nie podjął J. M. Keynes, a mianowicie inflacja spowodowana przez wzrost płać w warunkach pełnego zatrudnienia siły roboczej. W czasach J. M. Keynesa problem ten nie występował.

Istnieje także inna grupa ekonomistów, która w pewnym stopniu idzie śladem monetarystycznego trendu w myśli ekonomicznej wytyczonym przez Miltona Friedmana z Uniwersytetu w Chicago.

— Jak ocenia Pan nurt tzw. nowego konserwatyzmu, który zdomował się także w angielskiej myśli ekonomicznej?

— Myślę, że rząd konserwatywny w Wielkiej Brytanii po objęciu władzy kładł nacisk na zredukowanie tempa inflacji i było to konieczne. Niestety, ograniczenie inflacji zostało osiągnięte w dużym stopniu dzięki tolerowaniu wzrostu bezrobocia, które osiągnęło poziom 3,5 mln. bezrobotnych. Pojawili się pewne korzyści w postaci wzrostu wydajności pracy w niektórych gałęziach przemysłu. Jednakże, w moim przekonaniu, stan „przylamania” aktywności gospodarczej (spowodowany wzrostem bezrobocia) trwał zbyt długo, w związku z czym należy wątpić czy wzrost gospodarczy może stać się efektem zmian w polityce ekonomicznej rządu, polegających na stymulowaniu popytu. Na niebezpieczeństwo, rząd brytyjski zdaje się wierzyć w to, że inne niż keynesistowskie instrumenty sterowania popytem mogłyby okazać się nieefektywne, albo też zbyt groźne dla gospodarki ze względu na stymulowanie nowej inflacji.

— Czy polityka konserwatyzmu ekonomicznego jest przełomną modą, czy też trwałą tendencją?

— Przypuszczam, że z pewnością ta polityka zostanie w przyszłości zmodyfikowana. Jednak każda koncepcja polityki ekonomicznej zmierzająca do osiągnięcia pełnego zatrudnienia w W. Brytanii musi jednocześnie znaleźć skuteczne metody ograniczenia inflacji kosztowej. A to już staje się problemem politycznym.

— Ekonomię często obarcza się winą za wszystkie niemal plagi współczesnej cywilizacji (degradację środowiska naturalnego, pauperyzację niektórych regionów świata etc). Co Pan o tym sądzi — ile jest rzeczywistych, a ile urojonych przewinień ekonomii?

— Nie sądzę, aby obwinianie ekonomii i ekonomistów za te negatywne zjawiska było fair. W rzeczy samej ekonomiści często próbowali nalegać na to, aby koszty społeczne związane z zanieczyszczeniem środowiska naturalnego brały pod uwagę przy obliczaniu kosztów i korzyści projektów inwestycji publicznych. Jestem głęboko przekonana, że również w przypadku inwestycji prywatnych inwestor powinien być zobowiązany albo do ponoszenia kosztów degradacji środowiska, które wynikają z jego działań, albo do zupełnego wyeliminowania tej uciążliwości społecznej.

— To brzmi bardzo zachęcająco. Czy można jednak określić precyzyjnie koszty zanieczyszczenia środowiska naturalnego?

— Oczywiście precyzyjne określenie i pomiar kosztów społecznych w jednostkach pieniężnych jest dość trudne. Nawet jednak przybliżone kalkulacje mogą okazać się pomocne zakładając, że problem zanieczyszczenia środowiska nie jest po prostu ignorowany.

— Czy mogłaby Pani ustosunkować się do dorobku tej dziedziny ekonomii, której przedmiotem jest problem ochrony środowiska naturalnego?

— Ochrona środowiska naturalnego jest bardzo ważnym, ale zarazem trudnym problemem do rozwiązania. Od 25 lat obserwuje się podejmowane przez ekonomistów próby zmierzające do opracowania sposobów pomiaru społecznych kosztów i korzyści (oprócz bezpośrednich, ekonomicznych) przedsięwzięć gospodarczych. Należy podkreślić, że próby owe dotyczą nie tylko producentów, lecz także użytkowników liczących dóbr konsumpcyjnych. Przykładowo ekonomiści proponują, aby użytkownicy produktów, których eksploatacja powoduje zanieczyszczenie powietrza czy wód, pokrywali koszty tego zanieczyszczenia przez obciążenie cen takich produktów narzutem dodatkowego podatku.

— Pozwoli Pani, że przejdziemy do problemów polskiej gospodarki. Istnieje przekonanie, że wprowadzić polską gospodarkę nie działa efektywnie, to jednak w sferze teorii ekonomii mamy niewątpliwie osiągnięcia. Jak ocenia Pan wkład polskich ekonomistów w rozwój światowej myśli ekonomicznej?

— Pragnę zaznaczyć, iż znam jedynie wkład tych polskich ekonomistów, których prace były publikowane w języku angielskim lub tych, których zdarzyło mi się znać osobiście. Myślę, że każdy zgodzi się ze mną, iż przykładowo tacy ekonomiści jak Michał Kalecki mają wielkie zasługi dla rozwoju ekonomii światowej.

— Czy znała Pani prof. M. Kaleckiego osobiście?

— Tak, choć nie mogę powiedzieć, że byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Bez porównania był on o wiele bardziej wybitnym ekonomistą ode mnie.

— Czy wśród ekonomistów brytyjskich występuje zainteresowanie polską reformą gospodarczą?

— Istnieje stosunkowo mała grupa ekonomistów, którzy są naprawdę bardzo zainteresowani polską reformą. W ogóle grono ekonomistów brytyjskich ściśle zainteresowanych centralnie planowanymi gospodarkami jest dość szczupłe. Natomiast ci, którzy zajmują się tą kwestią są nią rzeczywiście zainteresowani.

— Jak oceniana jest polska reforma z perspektywy brytyjskiej?

— Nie mam pewności, czy znam ocenę wszystkich specjalistów analizujących przebieg polskiej reformy. Niektórzy z nich dostrzegają w reformie ruch w kierunku lepszego wykorzystania sił rynkowych, co wydaje się być koniecznym dla osiągnięcia poprawy efektywności gospodarowania w Polsce. Sprawa oceny tej reformy jest nadal kwestią otwartą.

— Czy — zdaniem Pani — łatwiej jest korzystać z doradztwa ekonomistów jako polityk, czy też łatwiej jest być ekonomistą — doradcą polityków?

— Nie mam pewności czy pierwsze musi być konieczne łatwiejsze od drugiego. Co mogłabym na ten temat powiedzieć? Ekonomiści nie mają ani większych, ani mniejszych praw od innych grup, aby proponować cele polityki ekonomicznej. Decyzja dotycząca wyboru tych celów jest nieuchronnie decyzją polityczną. Ekonomiści mają, jak sądzę, specjalne prawo i obowiązek wyrażania swej opinii, jeśli twierdzą, że politycy ogłaszają program gospodarczy, stanowiący zbiór celów sprzecznych ze sobą.

— Czy we współczesnym świecie rola ekonomistów akademickich wzrasta czy maleje?

— Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Zachęcałabym do myślenia, że ekonomiści w coraz większym stopniu oddziałują na opinię publiczną.

— Dziękujemy za rozmowę.

Co czeka Amerykę?

Rozmowa z ekonomistą JOHNEM K. GALBRAITHEM

— Tak, ale w sukcesie Reagana są dobre widoczne elementy ekonomiczne. Ta administracja żyje z dochodów od kapitału stworzonego dzięki polityce poprzednich rządów. Pożyczając od Roosevelta rządy amerykańskie stworzyły sieć bezpieczeństwa, ubezpieczeń, nad którą Reagan może spokojnie wycisnąć akrobacje. Moje pokolenie i liberalna kultura amerykańska stworzyły ustawodawstwo, które spowodowało, iż utracili władzę. W ten sposób dziś wielu Amerykanów korzysta równocześnie z beneficjów minionych administracji i nowej. Kiedy tak się staje, klimat polityczny w sposób nieunikniony zmienia się w konserwatywny.

— A co w tym złego?

— To, że sieć pod spodem staje się coraz słabsza, a akrobata coraz cięższy. Dziś Ameryka jest pierwszym krajem dłużniczym świata... To się nie zdarzało od 1914 r., ale wówczas problem rozwiązała wojna i gigantyczne zakupy w Ameryce walczących mocarstw europejskich. I to jest moje trzecie oskarżenie, niemyślenie o tym, że istnieje jutro, nie tylko dziś.

— Od listopada 1980 r., kiedy Reagan został wybrany, czy intelektualistę lewicy amerykańskiej nieustannie tylko przepowiadacie nieszczeście, a fakty regularnie wam zaprzeczają. Czy włączymy w ten proces również „samooskarżenie”?

— To prawda, co pan mówi, ale nie czuję wielkiego podługu do samopokorzenia. Napisałem, że przystąpienie do polityki sztywnego monetaryzmu na wzór Friedmana może spowodować wielką depresję, zniszczyć amerykańskie rolnictwo i przemysł, wywołując wielką falę bezrobocia i protekcyjnizm i tak się stało. Sukces reaganizmu zadął wielkie cierpienia temu krajowi. Czego natomiast nie przewidziałem to rozpady ruchów związkowych, które zostawiły wolną drogę polityce Białego Domu oraz walutowi, jaki wysoki stop procentowy będą miały na dolar i upadku ropy naftowej. Dzięki tym czynnikom inflacja, która politycznie jest zawsze bardziej decydująca niż bezrobocie, spłdła To, wraz z oczekiwaniami istniejącego państwa opiekuńczego, uczyniła ludzi zadowolonymi, a zatem konserwatywnymi.

— Słucham, profesorze, panu zarzuca Ameryka: pan też, profesorze, woli myśleć o przyjemnych sprawach.

— Zgadza się z moim przyjaciелеm profesorem Schlesingerem, kiedy mówi, że polityka amerykańska funkcjonuje zawsze cyklicznie, a sukces reaganizmu doprowadzi do stworzenia opozycji dyalektycznej, a zatem do innego cyklu.

— A skąd przyjdzie ta dyalektyczna odpowiedź pod adresem „zachowawczej rewolucji”?

— Przyjdzie ze strony tych, którzy płacą cenę reaganizmu i ze strony sił politycznych, które tworzą potencjał wyborczy. Ale jedno jest pewne: ubodzy, czarni, wykluczeni z reaganowskiego bankietu muszą sami potwierdzić własną siłę polityczną. Będą mogli tylko cierpieć albo gwałtownie buntować się, a to mi się wcale nie podoba. Jestem liberałem, nie z altruizmu, ale z egoizmu, bo głęboko Kocham pokój i spokój społeczny i w tym się doskonale czuję.

— W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ludzie też woleli patrzeć w inną stronę i korzystać z powojennego dobrobytu. Kiedy getta wybuchły, nikt ani gazety, ani uniwersytet, ani tacy guru jak pan nie przewidzieli tego.

— Tak, tak, ale epoka, kiedy my liberałowie, my ludzie lewicy czuliśmy się odpowiedzialni za wszystko, skończyła się. Mniejszości, czarni, ubodzy muszą wziąć na siebie odpowiedzialność demokratyczną i wykorzystywać prawa wyborcze, które mają w pełni do dyspozycji. Nie można siedzieć w domu w dniu wyborów, oskarżając innych o niewrażliwość i dyskryminację, bo ci, którzy głosowali, wybrali Reagana. (...)

— Proszę mi odpowiedzieć tak albo nie: czy idziemy w

któregoś nowego krachu jak w 1929 r.?

— Tak, obawiam się, że tak i wythumaczę panu dlaczego. Ale najpierw niech pan zamknie oczy i chwilę odpocznijmy.

Z pokoi na pierwszym piętrze, w tym chłodnym półcieniu lata bostońskiego, do biblioteki, w której John Kenneth Galbraith, ostatni liberalny amerykański „guru” prowadził proces lewicy przeciw śledztwu reaganowskiemu latem, dochodzi echo stłumionych hałasów. „To służąca indyjska, którą przywoziłem z New Delhi przed 20 laty”, mówi przenosząc się jeszcze raz w przeszłość, w młot i znaków tak odmiennych od obecnych, kiedy Kennedy wysłał do Indii jako swojego ambasadora profesora Harvardu. Kiedy słowo „intelektualista” nie skłaniało prezydentów do natychmiastowego ukrywania się za kamerą telewizyjną.

Możemy znów zacząć, podejmując Galbraith, którego 78 lat uczyniły słabszym, ale nie ugęty go. Jego kot, który od godziny obwachuje mi kieszki, ostatecznie uклада się przy mnie na kanapie. Pokój jest

pełen książek, na stoliku otwartym wspomnień Alberta Speera, architekta nazizmu. Ulicą przejeżdżają volvo, BMW, toyoty i motory wysigowe, obowiązuje zabawa i środki transportu młodzieży z Harvardu.

— Profesorze Galbraith, nim omówimy międzynarodowy obraz Ameryki i problem broni, obiecał mi pan wythumaczyć swoje straszliwe proroctwo o zbliżeniu się krachu jak w 1929 r.

— Są tacy, którzy mówią, że historia nigdy się nie powtarza. I tacy, którzy utrzymują, że jeżeli nie stosuje się lekcji historii, jest się skazanym na jej powtarzanie. Ja niestety należę do grupy tych drugich i nie wykluczam nowego 1929 roku. W każdej spekulacyjnej fazie na giełdzie przychodzi zawsze nieuchronnie chwila, kiedy gracze tracą wszelkie poczucie rzeczywistości i rzucają się do gry tylko dlatego, że spodziewają się, iż będzie ona trwać i tudzież się, że umkną na minutę przed upadkiem. Dziś jesteśmy w jednej z tych faz, kiedy stosunek między cenami, zyskami i walorami majątkowymi przedsiębiorstw nie ma już żadnego sensu gospodarczego, z pewnymi wyjątkami zaledwie. Jeżeli wielu działających postanowi, że ma dość, wówczas wszyscy zechcą wyjść z wody zanim ich ona pochłonie. Taką była sytuacja w 1929 roku (...)

— Ale rząd Reagana widzi chyba dobrze to, co pan widzi: długi, galopująca spekulacja, nadmierna wartość walorów giełdowych; to nie są teorie, tylko fakty.

— Widzi je, oczywiście widzi, ale prosi nie oczekiwać najmniejszego wysiłku, aby to naprawić. Obecny rząd nie jest rządem, ale rodzajem sekty religijnej. Wszyscy od Reagana w dół są przekonani, że Bóg jest konserwatywnym republikaninem, a rynek, który jest jego prorokiem, wszystkim się zajmie.

— A zatem, kula toczy się nieuchronnie w kierunku czarnego horyzontu?

— Zostanie podjęte jedyne działanie, dopóki to będzie możliwe: ratowanie w ekstremis najgroźniejszych przedsięwzięć i banków. Tak było z Chryslerem, Lockheedem, Kolejami Wschodnim, Bankiem Kontynentalnym Illinois. Teraz też Waszyngton, głosząc zasadę czystego rynku, wyciąga z długów dziesiątki banków i kas oszczędności, które toną, tak jak za pomocą Międzynarodowego Funduszu Walutowego stara się pomóc wielkim bankom uwikłanym w bezmyślne kredyty dla Ameryki Łacińskiej (...)

— Profesorze Galbraith, są tacy, którzy mówią, że obecnie rozbrojenie czy kontrola zbrojeń są niemożliwe, bo gospodarka amerykańska stała się „wojskowością”. Znakotyżowana wydatkami na obronę.

— Całkowicie się nie zga-

„LA REPUBLICA”
1986, nr 1 i 2

Rozmowę opracowali:
KRZYSZTOF SZLICHCIŃSKI
WITOLD KASPERKIEWICZ

przysłuchując się, czy nie idzie Alona, i cierpiąc, że będzie musiał wstać do kolacji. Alona nie popuściła, dopóki nie nakarmiła. A tak się nie chciało wstawać! Nie się nie chciało. Jak w grobie.

Weszła Alona, zdziwiona, że leży, i zaniepokojona, czy się nie rozchorował. Nie, nie rozchorował się. Zmęczony. Opowiadając coś, w co się nie wśluchiwał, zaczęła nakrywać do stołu. Iwan Pietrowicz poprosił o zwłokę. Leżał i apatycznie, bez żadnego powodu, jakby wzięte z cudzej myśli obracał w sobie nie wiedząc czym połączone słowa „marzec” i „śmierć”. Było w nich jeszcze coś wspólnego, oprócz brzmienia. Tak, trzeba pokonać marzec, resztkami sił przemoc ten ostatni tydzień.

Wtedy właśnie dotarły do Iwana Pietrowicza okrzyki:

— Pożar! Magazyny się palą!
Tak ciężko i smutno było mu na duszy, że zdało mu się, że te okrzyki rozlegają się w nim. Ale podbiegła Alona:

— Słyszysz, Iwanie! Słyszysz? Ach ty! Przecież nie nie zjadłeś!

2.

Magazyny działu zaopatrzenia pracowników rozciągały się w kształt odwróconej litery „L”, której dłuższy bok biegł wzdłuż Angary, a krótszy wychodził z prawej strony na ulicę Niżnią, zupełnie jakby ta zwalista litera nie stała, ale leżała. Jeśli patrzeć na nią z góry, z osady. Dwie pozostałe strony były, rzecz jasna, otoczone solidnym płotem. Do tej towarowej twierdzy prowadziły z ulicy dwie drogi: szeroka brama wjazdowa dla samochodów i obok — przejście dla osób upoważnionych. Z prawej strony bramy, bliżej magazynów, stał zgrzebnie wbudowany i w połowie wystający poza linię płotu, wesoło patrzący na ulicę zieloną farbą i dużymi oknami sklep, z jednym gankiem prowadzącym do dwóch działów — spożywczego i przemysłowego.

Ulica Niżnia po obu stronach magazynu była gęsto zabudowana: ludzi zawsze ciągnęło ku wodzie. I duży ogień, zapewne, mógł się przenieść na domy po prawej i po lewej stronie, mógł się też przerzucić na zabudowania stojące wyżej. I właśnie o tym pomyślał Iwan Pietrowicz, wybiegając z domu, a nie o tym, jak ratować magazyny. W takich razach najpierw przychodził do głowy najgorszy, i dopiero potem myśli i czyn zmniejszają rozmiary możliwego nieszczęścia.

Iwan Pietrowicz spojrzał z ganku w stronę magazynów i nie zobaczył ognia. Ale stamtąd dobiegały okrzyki najbardziej rozpaczliwe i donośne, choć krzyk słychać było zewsząd. Iwan Pietrowicz, żeby skrócić drogę, rzucił się przez ogród i wpadłszy na odosłonięte miejsce, przekonał się: pożar. Metna przerywana zorza wyla się w bok i jakby daleko na prawo od magazynów; Iwanowi Pietrowiczowi przez chwilę wydawało się, że płoną suche ogrodowe żerdzie i łaźnia, stojąca na tyłach, ale w tej samej sekundzie luna wyprostowała się i wystrzeliła w górę, oświetlając z wysokości zabudowania magazynów. Znowu rozleciały się krzyki i trzask zrywanych desek. Iwan Pietrowicz oprzytomniał, co on, dokąd tak z pustymi rękami? Zawrócił biegiem, wołając Alonę, ale już jej nie było, zostawiła dom i wybiegła. Iwan Pietrowicz złapał siekierę z pieknią i zaczął młotać się po obciążeniu, nie pamiętając, gdzie może być bosak, i nie przypominając sobie, opomniany inną myślą, że trzeba by zamknąć dom. W tym momencie zatańczyły na ścianie odległej ognia i Iwan Pietrowicz, zapomniawszy o wszystkim, rzucił się z powrotem tą samą drogą.

Zdażył w biegu odnotować, że luna przesunęła się w stronę ulicy. Sprawa, znaczy, robiła się niebezpieczna. I takiego poważnego pożaru od czasu jak istniejąca osada jeszcze nie było.

Iwan Pietrowicz obiegł płot i przez szeroka, rozwartą teraz na oścież bramę powoli wszedł na podwórze, rozglądając się, co się dzieje.

3.

Zaczęło się palić, sądząc ze wszelkich oznak, w rogu, albo koło rogu, od którego magazyny rozchodziły się na boki: z artykułami spożywczymi — dłuższy, z przemysłowymi — krótszy. I obydwa stały pod jednym wspólnym dachem. I tak były zabudowane i zajęte w tym miejscu, żeby, zapalwszy się, spłonąć do cna. Co do budowy, co do tego, żeby zawczasu pomyśleć o możliwości pożaru — Rosjanie nigdy nie nadawali z rozumem i zawsze tak się urządził, żeby było wygodniej żyć i używać, a nie tak, żeby snadniej i prędzej uchronić się przed czymś, uratować. A w tym wypadku gdy pospiesznie budowano osadę, najbardziej się przed wodą, kto myśli o ogniu? Ale co do rogu, od którego się zajęło, tutaj ktoś, albo też, na pewno, nieszczęśliwy zbieg okoliczności, jeśli nie ktoś, z rozumem zdażył w samą porę.

Zaraz też poszło w obie strony. Tam, gdzie gładowano artykuły spożywcze ogień poszedł po dach, a tak prędko i z takim trzaskiem, jakby po wierzchu nasypiano prochu. Tego końca nie zdążył pokryć łupkiem, przywiezionym już na jesieni i złożonym pod płotem, gdzie i do tej pory leży. A już dwa lata będzie, jak pokryto łupkiem te części magazynu, gdzie przechowywały się artykuły przemysłowe — co innego, jak moka skrzynki z konserwami czy jakieś tam suchareczki-cukiereczki, a całkiem co innego, jeśli deszcz zaleje japońskie ciuchy, no które przyjeżdżają aż z Irkucka i które mają swoją cenę oprócz ceny pieniężnej. Ale oczywiście to nie łupki przeszkodziły w przerzuceniu się ognia po dachu na tę stronę. Największy żar buchał z wnętrza ostatniego magazynu, i stad na zdrowy rozum, mogła się zacząć cała historia.

Jeszcze jeden magazyn był pokryty łupkiem — ostatni w ciągu spożywczego, w którym trzymano makę i kaszę.

Gdy Iwan Pietrowicz, poruszając się tak jakos bokiem, zyskami, nie wiedząc, gdzie się skierować, szedł przez oświetlone płomieniami podwórze, dopiero w dwóch miejscach zaczął się organizować gruny: jedna kolo ognia z prawej strony starczała motocykle z ramowy, druga, czterech czy pięciu mężczyzn, w przeciwnym końcu rozbiła na środku długiego budynku dach — żeby powstrzymać ogień, idąc

Pożar

WALENTIN RASPUTIN

Walentín Rasputin urodził się w 1937 roku w okolicach Irkucka. Jako pisarz zadebiutował w roku 1961 wydając następnie kilka zbiorów, opowiadań i szkiców. Jego twórczość należy do najciekawszych zjawisk w literaturze rosyjskiej ostatnich dziesięcioleci. W Polsce ukazały się dotąd trzy powieści Rasputina: „W ostatnią godzinę” (1974),

„Żyć i pamiętać” (1977) oraz „Pożegnanie z Matiorą” (1979). Ostatnia jego powieść „Pożar”, której druk rozpoczynamy w przekładzie Ewy Katarzyny Nowak, od momentu ukazania się w „Roman gazecie” (1985) po dziś dzień, należy obecnie do najbardziej znaczących i dyskutowanych faktów artystycznych w ZSRR. (GRZG.)



Rys. Janusz Szymański-Glanc

cy górą. Już ich przypiekał przybliżający się żar — mężczyźni zaciekle krzyżeli i zaciekle zrywali i zrzucaли na ziemię poczerwiałe od upływu czasu, pękające belki. Iwan Pietrowicz przypomniał sobie, że ma w ręku siekierę — wypadło mu więc przyjąć im z pomocą z powodu tej siekiery, i, podbiegłszy, zadreptał na dole, uchylając się przed spadającymi deskami i nie domyślając się, z której strony i jak wdrapać się na górę. Umysł całkiem odmówił posłuszeństwa, nie nie przychodziło mu do głowy. I dopiero gdy zobaczył kogoś, kto, szeroko stawiając nogi po obu stronach spadającego płotu — pobiegł w tamtym kierunku, nawet nie rugając samego siebie, bo tu czasu nie było na wymyślanie sobie, gniewnymi słowami, że brak pomysłu, ale jakby wychodzącą rozpaczą przeklinał się i osmalał, idąc w sukurs wszechogarniającemu żarowi. A bo to dawno chłop był z niego na schwał? — i patrzcie: tylko skóra z chłopa została.

Tam, na górze, komenderował Afonia Bronikow. Iwan Pietrowicz, podbiegając, usłyszał jego głos, nakazujący komuś zejść na dół i poszukać lomu albo w ostateczności jakiegokolwiek draga do wyważania belek. I jakoś źle zrobiło się Iwanowi Pietrowiczowi: dobrze, że Afonia jest tutaj. Był tu też jeszcze jeden człowiek, na którym można było polegać: traktorzysta Siemion Kolcow, co prawda, przyjezdny, ale nie raz przychodził im razem pracować, i Iwan Pietrowicz wiedział: można na nim polegać.

Afonia, zobaczywszy, że Iwan Pietrowicz ma w rękach siekierę, ucieczył się:

— No, przynajmniej jeden z głową na karku się znalazł. Bo to wszyscy leżą do pożaru, jak do stołu — z pustymi rękami.

Kazał stanąć Iwanowi Pietrowiczowi na skraj dachu od podwórza i ten, nie zwlekając, zabrał się do odbijania desek. Z drugiego końca spadło, od kalenicy, stojąc na klocku i z każdym uderzeniem zeskakując i przesuwając go, nobiliakiem, niczym młotkiem kowalskim, rozbił dach od spodu sam Afonia, pośrodku, też siekierą, obracał Siemion Kolcow. Nadązał i tutaj, po drugiej stronie spadło, zwróconej ku Angarze. Zwykle małowymy, opanowany, teraz krzychał coś dziko i nierozrzucając z furją łamiąc i rąbając deski z lewa i z prawa. Iwan Pietrowicz, jakkolwiek zajęty był i zagrożony w pracy, zdażył pomyśleć, że tak właśnie, wychodząc z siebie i wykrzykując siebie, rzuca się człowiek do ataku, zmuszony do zabijania lub do niszczenia, tak jak on teraz, i że nie przyjdzie nikomu do głowy, żeby rzyć, jak zwierzę, kiedy, dla przykładu, sieje zboże lub kosi trawę dla bydła. A mówi się, że tyle wieków już minęło od czasów człowieka pierwotnego; wieki wprowadziły minęły, ale w duszy wiele z niego pozostało.

Kiedy Iwan Pietrowicz przyłączył się z pomocą, już były zdjęte cztery metry dachu. Razem zaczęli posuwać się szybko — i zdążyli: ogień, który przerzucił gorącą ścieżkę przez wewnętrzny spadek, potknął się o pustkę i śmigawszy w górę, zmusił ich do przykucnięcia od bliskiego bezlitosnego żaru, ale już nie zdolał przerzucić się przez wyrwę i zawrócić, żeby skończyć z pozostawionym w półniechu suchym i podatnym drewnem. Zadymniły krokwie, ale nie zapaliły się, a tam, gdzie zaczęły się zajmować, rzucił się Afonia i stłamsił ogień waclakiem.

I jeszcze raz przekonał się Iwan Pietrowicz: rogata dusza z tego Afoni, swój, jeszcze ze starej zatopionej wsi chłopak — teraz już od dawna nie chłopak, a chłop.

Znowu zabrał się do pracy, często z lękiem oglądając się za siebie. Wrócił chłopak, wysłany po łom i przyniósł zamiast łomu niespodziankę: wytoczoną nadpaloną „Urala”. Motocykl „Ural” z przyczepą, za którym w przed-

siębiorstwach przemysłu leśnego uganiają się bardziej niż za samochodem „Ziguli”. Mało znał tego chłopaka, teraz jest wielu takich, którzy zjechali tu z różnych stron i chociaż żyją już kawałek czasu, i tak nie wyli się na dobre w środowisko. Wykrzykiwał, oburzony:

— Przecież mieli go, mieli „Urala”. Dla kogo go trzymali? Niedawno pytałem Kaczajewa. Nie ma — mówi. A ten tu stał!

Afonia ofuknął go:

— Łomu szukales — czy czego innego?!

— Nie ma. Nic nie ma — zawołał chłopak. — Patrzcie: kobiety zleciały się z wiadrami, a bezkrowozu nie można znaleźć. Z Angary na koronnych dźwigach. Do takiego piekła — na korymistrzach! Równie dobrze można stanąć obok i kichać na ogień. Jedno licha!

I chłopak z krzykiem zaczął opowiadać, jak to, przybiegłszy jako jeden z pierwszych, próbował użyć gaśnic:

— Uderzyłam ją, jak należy, a z niej tylko psik. Psik — i koniec. Ani piany, ani gangreny. Albo wyschły, albo zużyte.

Krzyczał im za plecami: Afonia kazał mu stanąć z tyłu z waciakiem i pilnować ognia. Strach zdejmował od tego urwanego, skaczącego głosu pośrodku wysiłku bez wytchnienia i rozprostowania pleców. Iwanowi Pietrowiczowi wydawało się, że nie z człowieka obok, diawiejącego się dymem i żarem, wydobywa się i rwie ten głos, ale wprost ze ścian. I później, podczas długiego i gorącego wieczoru, który przeszedł potem w noc, kiedy Iwan Pietrowicz słyszał głosy coś wołające i oznajmujące, czegoś żądające, ciągle zdawało mu się, że to ściany, ziemia, niebo i brzęgi rozbrzmiewały ludzkimi głosami — żeby ludzie zrozumieli.

Wybiwszy i zrzuwszy ostatnią belkę, Iwan Pietrowicz przystanął i obejrzał się. Płomień, który został za nim, unosił się wysoko w górę, gorącym światłem oświetlając podwórze i zamasytymi odbłaskami skacząc po dachach pobliskich domów. Po podwórzu dzieci biegały w milczeniu, jak oszalałe, kolo magazynów z artykułami przemysłowymi miały się i pokrzykiwały nie do poznania, wręcz przeświecone postaci, tańczące przed ogniem jakiś wspólny taniec. Ogień był tam groźny przez to, że wysuwał spod dachu długie wściekle jezory, zmuszając ludzi, żeby zupełnie jak w tańcu odstępowały i znowu przystępowały: „A my proszę siłaliśmy, siłaliśmy... A my proszę wydepchem, wydepchem”.

Alle zbliżało się już też kierownictwo. Obok kierownika odcinka pośrodku podwórza wymachiwał rękoma i ciągle pokazywał nim gdzieś w stronę osady główny inżynier przedsiębiorstwa przemysłu leśnego Kozielew Boris Timofiejewicz słuchał go i nie słuchał dając komuś znaki, które mogły oznaczać tylko jedno: jeszcze, jeszcze... I nagle, zobaczywszy wjeżdżającego w podwórze traktor, rzucił się ku niemu.

Narodu było gęsto, zbliżała się pewno cała osada, ale nie znalazł się chyba do tej pory nikt, kto umiałby zorganizować ludzi w jedną rozumną, potężną siłę, zdolną do powstrzymania ognia.

Zabudowania osady hen oblane luną dokonującą przeraźliwej lustracji bojaźliwie wciskały się w ziemię, Iwan przymierzając się, czy to daleko, odszukał dach swojego domu i przypomniał sobie: bosak, który mógł się tu przydać, leżał w szopie, sam go tam zaniósł dwa dni temu, kiedy spadł śnieg.

4.

Nieprzytulna była i nieporządna, i nie mfejski, ale nie wielki, ale biwakowy charakter miała ta osada, zupełnie jakby koczowniczy, zatrzymawszy się, żeby przeczekać niepogody i odpocząć zasiedzieli się tutaj. Ale zasiedzieli się w oczekiwaniu, kiedy padnie komenda, żeby ruszać dalej, i dlatego, nie zapuszczając gło-

ko kory ni, nie organując sobie wysp i nie urządzając tu z nową o dziejach i wnukach, tyle aby lato przesiedzieć i jeszcze zimę przeczekać. Tymczasem rodziły się dzieci, rosły i same już miały dzieci, a obok koczownicza d i żywych rozrosło się też drugie, wieczne, a tamto pomimo wszystko nie przestało być tymczasową przysłania, która trzeba będzie zostawić lać dzień. I zdawało się Iwanowi Pietrowiczowi, gdy słyszał to nocach, jak pracuje elektrownia, jak jej turbina postukuje przez całą dobę, że ta osada, nie wylaczając silnika, utrzymuje się w ciągłej gotowości.

W radzie osady wisi plan: proste ulice, przedszkole, szkoła, poczta, biuro przedsiębiorstwa przemysłu leśnego i biuro gospodarstwa leśnego, klub, sklepy, baza samochodowa, wieża ciśnienia, piekarnia — wszystko, co jest potrzebne do normalnego życia, wszystko, jak u ludzi. Ulice rzeczywiście były proste i szerokie: w swoim czasie surowo przestrzegano przepisów o budowie domów wzdłuż wytyczonej linii. I wszelki ład tylko do tego się sprowadzał: że nie po większe szerokie ulice były rozjeżdżone przez ciężkie pojazdy, aż przypominały jakiś nieziemski pejzaż. W lecie nie pogody traktory i drewnowce ubijały na nich błoto na czarno-śmiałankową pianę, która ciężkimi falami rozchodziła się na boki i falami potem zasychała, przekształcając się w kamienne grudy, stanowiące dla starszków góry nie do pokonania. Co roku rada osady zbierała po rublu od domu na trotnary, co roku je kładziono, ale nadchodziła wiosna, trzeba było wozieć drewno i z trotnarów, po których ciągnięto i przetaczano kłocę, zostawały drzazgi. Przez lato nie można było znaleźć wolnego czasu, żeby zrobić nowe, latem każdy ma co innego na głowie. Brygada „trotnarowa” mobilizowała się przed zimą i dziewczęta nowe, mało czyją nogą tknięte chodniki leżały trzy-cztery miesiące pod śniegiem, do lutego, do marca i znowu beżmyślnie przepadały pod gąsienicami traktorów i ciężarom nie podlegające drewna. A często i na nich na wążutkich resztkach tych chodniczków, dokonywano jego obróbki — i pilowano, i rąbano. I żadne nakazy ani zakazy nie skutkowały.

I naga, wyrywająca odsłonięta, ślepa i zimna była osada: mało gdzie w ogródku ogrzewały duszę i oko brzołka lub jarzębinka. Ci sami ludzie, którzy w swoich starych wsiach, z których się tutaj zjechali, nie widzieli życia bez zieleni pod oknami, tutaj nawet nie zakładali ogródków przed domem. I ulica huczała i zagładała w okna bez przeszkód. I żadne uchwały o zazielenieniu nie przynosiły żadnych rezultatów. Ale taka jest prawda: jak się co roku wyrąbało wiele hektarów tajgi, otwierając na prawo i lewo olbrzymie przestrzenie, to trudno tej samej duszy i tej samej ręce zasłaniać się krzakami czeremchy od przenikliwego wiatru i przeźroczystego bytowania. Z czego żyjemy...

Wystarczy powiedzieć: przedsiębiorstwo przemysłu leśnego — przemysłowe wykorzystanie lasu. Tym właśnie tłumaczono różne nieporządki i nieład w organizacji życia w osadzie. Co las rąbać — to nie zboże śiać, gdy te same prace i troski powtarzają się co sezon, i choćby człek nie wiedział ile żył, rolniczego trudu dlań starczy i jeszcze zostanie. A jak las wyrąbać — nowego czekać dziesiątki lat. Przy dzisiejszym poziomie techniki wyrab trwać parę lat. A co potem? A potem zbieraj się i koczuj. Zostaw domki, obórki i łaźnie, zostaw groby ojców i matek i własne przeżyte tu lata, i przenoś się na drewnowcach i traktorach tam, gdzie jeszcze jest las. I zaczynał wszystko od nowa. Iwan Pietrowicz, płynąc latem wodą lub zimą jadąc po lodzie kolo Bieriozowki, zawsze ze smutkiem i z przykrością spoglądał w jej stronę, na zamknięte i opuszczone domy: tam też było przedsiębiorstwo przemysłu leśnego, zrobiło swoje i przeniosło się — i nie mia żywej duszy w porzuconej osadzie, tylko zwirowani turyści rozpalają w domach ogniska, a dym wychodzi przez drzwi.

Ten sam los, wcześniej czy później, stanie się ich udziałem. Odwlekali go, jak mogli, ale nie da się go odwlekać w nieskończoność. Swoje drewno — ze swojego rejonu wyrębów — wybrali już siedem lat temu. Wyznaczono im teren za Angarą. Po pięciu latach i tam wszystkim wyrabiali. Automatycznie powstał problem dalszego istnienia osady. Sprawę rozpatrywano w rejonie, w obwodzie, w zarządzie i podjęto decyzję: pozytywną. Znowu wrócili na swoje stare tereny, na poręby, lecz o ile przedtem brali tylko drewno użytkowe, tylko sosnę i modrzew (był czas, że trzeba było brzoze i osinę chemicznymi środkami trującymi, żeby nie zachwasczały lasu), to teraz wszystko jak zabieganiem wyczesali. I maszyny takie weszły, że żaden podrost po nich nie zostanie. Sam spychacz, zanim podejdziesz do wymiarowego pnia, zadepcze i wytłucze wszystko do cna.

Alle nawet takiej pracy „pod grzebni” wystarczą na jakieś trzy, cztery lata. A potem? A potem, mówi się, że jak za dawnych czasów do pracy sezonowej brygady będą wyjeżdżać dziesiątki kilometrów na dłużej zmiany, a popracowawszy pojawią się znów w domu, żeby odnowić. Prace zawodowa i życie rodzinne podzieli na wachty: przez tydzień należysz do przedsiębiorstwa i przez tydzień do rodziny. Ściśle według grafiku. Nie będzie już takiego przepłatania się życia rodzinnego i pracy, jak teraz.

I to nastąpi.

A jak ma nie nastąpić, jeśli innej pracy tutaj nie ma. Pola i łąki, z których kiedyś żyli ludzie, zatopiono podczas budowy hydroelektrowni, i zostały tylko lasy.

I jest na planie w radzie osady klub, ale klub ten już dwadzieścia lat mieści się w żłobie publicznej, wywiezionej z jednej ze starych osad. Trzeba by wybudować nowy, ale jak budować, kiedy do ostatniej chwili nie naprzód nie można było przewidzieć. Jest na planie przedszkole, ale jest ono nieczynne: nie wiadomo było, czy warto, czy nie warto go remontować. I choć się dowiedzieli, nikt się nie spieszy. Za te plany nikt nie jest przed nikim odpowiedzialny.

I jak tedy ma ładnie wyglądać osada — do tego w lunie pożaru?!

C.D.N.

Przekład:
EWA KATARZYNA NOWAK

„Zważywszy: że pozwana o kosztach nie prosi, Sąd więc skargę oddala, kosztów nie zasądza”.

Tak kończył się — przypomniany w moim zbiorze satyrycznym „To ci kwiatki” — protokół sądu polubownego, który obradował prawie sto siedemdziesiąt lat temu. Przewodniczącym tego trybunału i protokulantem w jednej osobie był rejent Michał Piotr Borowy. Różnił się on od innych rejentów tym, że sporządzone przez siebie akta prawne obkładał w wierszowaną szatę, spisując do rymu rozmaite umowy, kontrakty, akta kupna i sprzedaży, testamenty. Plastyczność i barwność stylu w niczym nie uchybiały zasadom obowiązującym w tego rodzaju dokumentach.

Rejent-poeta mieszkał stale w oddalonym od Łodzi o kilkanaście kilometrów Strykowie, a jak wynika z jego utworów często brał udział w sesjach wyjazdowych do okolicznych wsi, m. in. do Niestukowa, wieloletniej rezydencji ówczesnych właścicieli Łodzi — biskupów kujawskich.

Przedmiotem wzmiankowanego posiedzenia sądu polubownego były perypetie eks-rotmistrza Jana Otto, skarżącego wdowę Różę Strzembos z o odszkodowanie w wysokości sześciu tysięcy złotych polskich za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Sąd oddalił pretensje pana eks-rotmistrza uwzględniając wyjaśnienia wdowy, która po prostu zlekkała się współżycia z p. Otto, jako że ten przy świadkach oświadczył, iż „na jej wszystkie fochy i narowy będzie jedno lekarstwo, to jest kłęb”.

Sprawa toczyła się „we wsi Kiełkowie w brzezińskim powiecie, w tysiącym osiemsetnym dziewiętnastym lecie”, w okresie wojen napoleońskich, w tym to bowiem czasie, aż do powstania listopadowego, urzędował rejent Michał Piotr Borowy.

Przekopując się przez pozółtkie komplety łódzkiej „Republiki” sprzed 60 lat, natrafiłem na jeszcze jeden kapitalny utwór re-jenta-poety. Jest to „Testament” z 1830 roku, a oto jego treść napisana klasycznym trzynastogłoskowcem.

„Przybyłem na wezwanie w dworu tego ściany,
Gdzie leżał w łóżku dziedzic tej mającej wioski,
Znany mi z swej osoby pan Kazimierz Płoski,
Cierpiący na podagrę, lecz w umyśle zdrowy,
O czym się przekonałem z dość długiej rozmowy;
Oświadczył mi, że bardzo jest słaby, a zatem
Chcę, bym spisał jego ostatnim voluntem.
Ja więc Michał Borowy, rejent zamieszkały
W Strykowie, własną ręką piszę ten akt cały.
Zabrałem się do dzieła jakoż w obecności
Czterech świadków, dziedziców rozmaitych włości,
Poniżej wymienionych, w tutejszym powiecie

1 Nagle zastępstwo

0 kompleksie prowincji i stołecznym wdzięku

Nieladnie mieć kompleks prowincji. Nie wypada. Nawet, jeśli się całe życie mieszka na prowincji. Natomiast bardzo ładnie i elegancko jest mieć „stołeczny” stosunek do świata. Ten polski, ten wdzięk, tę lekkość warszawską. Prezentuje się ją nie tylko w dziedzinie towarzysko-tekstynowej, niestety... Znakomity publicysta stołecznego tygodnika pisze o samorządach robotniczych. Ze zgrozą odnotowuje zjawisko niedoceniania, niezrozumienia pożytków, płynących z dobrze funkcjonującego samorządu. Pisze: „nawet w Warszawie są zakłady, których załogi...” itd. Tak, proszę państwa! Nawet w Warszawie zdarzają się ludzie, którzy nie rozumieją! No, bo że są takie załogi w Przemysłu, Walbrzychu czy Radomiu — trudno, trzeba zrozumieć — prowincja. Ale w Warszawie? Nieladnie...

Nieladnie mieć kompleks prowincji. Nieladnie. Często — śmieśniesz się, nieodmiennie wywołują we mnie grymas informację w łódzkich gazetach: „Łódźki artysta plastyk laureatem nagrody”. „Odkrycie łódzkiego uczonego” itp. Przecież jest to polski artysta, polski uczonec. Mieszka i pracuje w Łodzi. No i dobrze. Pewnie z równym powodzeniem mógłby mieszkać i pracować w Płocku, Zielonej Górze i w Mławie. Może zresztą z tego Płocka czy Mławy pochodzi? Może z Płockiem, czy Zieloną Górą tęskni i tylko kombinuje jakby to zmienić mieszkamie? Przenieść się jak najdalej od Łodzi? Ale w Łodzi on jest „łódzki”!

Byłbym ostrożny z tym przymiotnikiem. Nie jestem pewien, czy nie jest śmieszne nazywanie Juliana Tuwima łódzkim poetą? Oczywiście, są też przypadki absolutnie bezsporne. Pracujący w łódzkiej uczelni uczonec, który napisał monografię Łodzi (historyczną, socjologiczną, demograficzną, ekonomiczną — wszystko jedno), to będzie niewątpliwie łódzki uczonec. Pejzażysta z uporem, przez lata, malujący łódzkie „landszafy” — łódzki malarz, zgadza się. A zmarły niedawno świetny aktor Andrzej Szalawski — kilkanaście lat pracy w Łodzi, ale przecież nie tylko — łódzki, a może gdański? czy warszawski? Bzdura. Szalawski był „teatralny”, był „filmowy”, był „radiowy” był „telewizyjny”, no i — oczywiście — był polski!

Z perspektywy Warszawy widać lepiej. Tam się nie używa terminu „warszawski uczonec”. Ale łódzki, poznański czy lubelski dostrzegają się. Najczęściej, kiedy chce się komuś dołożyć. Niedawno publicysta niechętnie bojowego pisma warszawskiego usiłował dołożyć „Odgłosom”. A robi się to najprościej jak tylko można: nie pisze się „tygodnik „Odgłosy”, tylko „łódzkie piśmiemko „Odgłosy” i już wiadomo — prowincjonalny szmatławiec. A argumenty? Nieważne. Wystarczy przypomnieć sobie jakąś tam publikację z „Odgłosów” z ubiegłego dziesięciolecia (tak!) i przywalić — co to te „Odgłosy” wypisują! Teraz wypisują, a co, zmieniło się coś? Nieważne, przecież to tylko „łódzkie piśmiemko”.

Dowiaduję się z gazet, że 12 listopada 1986 r. odbyło się wręczenie nagród prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży. „Głos Robotniczy” i „Dziennik Łódzki” wymieniali oficjalnie i promiennie, którzy nagrody wręczali lub choćby „zaszczytli obecnością”. Nazwisk nagrodzonych — ani śladu. I już wiem: żadnego łódzianina. No, bo gdyby był łódzianin to zaraz w tytule: „Łódzki artysta laureatem...” itd.

Nieladnie mieć kompleks prowincji. Nieladnie. Choć czasem najelegantszy człowiek wyjdzie „z nerw” i przestaje być elegancki. Nie nie ujmując zasłużonemu laureatom (jest wśród nich dwoje ex-lordów!) dziwię się, że w mieście, w którym pracują dwa teatry lalkowe, z repertuarem głównie dziecięcym, w którym także inne teatry, nie wyłączając scen muzycznych, sporo robią dla dzieci, w mieście, w którym działa jedna z dwóch wybitnych filmów animowanych i największa wytwórnia filmów fabularnych (tu powstał Jan Brzechwy), w mieście, w którym... eeh, co tu wymieniać, a więc w tym mieście nie ma nikogo, kto na nagrodę premiera zasłużył?

Nie ma. Trudno. Prezes radiokomitetu rozdawał ostatnio nagrody i ordery, bo mu się zbliżył jubileusz radiowe i telewizyjne. Wśród laureatów Wiesław Machajko (gratulacje, panie Wiesławie!) — ale czy dostałby Machajko tę, zasłużoną niewątpliwie, nagrodę, gdyby... robił to co robi dla programu lokalnego? Wątpię. Dostrzegł go, bo pracuje dla dziennika TV. A jako taki warszawista jest — ot co!

Kończąc, bo już i tak paskudnie napłotłem. Przecież nie-elegancko mieć kompleks prowincji. Nawet jeśli się całe życie na prowincji mieszka i pracuje.

ANDRZEJ KAROL

2 Butelki

Człowiek zajmujący się piśmiem felietonów powinien posiadać własne, podręczne archiwum wycinków prasowych. Posiadam takie, ale rośnie ono w sposób przerażający i co jakiś czas muszę je usuwać. Wycinki, które z tych czy innych powodów straciły na aktualności, po prostu wyrzucam. Tak stało się z rozprawą — dziś już nie pamiętam — Rady Ministrów, czy być może tylko Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług w sprawie... skupu butelek. Wyrzuciłem to rozporządzenie z naiwności, niepoprawnego optymizmu i wiary w postęp oraz takie różne inne wznośne sprawy. Wydawało mi się bowiem, że wreszcie rozwiązaliśmy problem skupu butelek, z którym przez wiele lat mieliśmy ogromne kłopoty.

Rozporządzenie owo, którego już nie posiadam, nakazywało placówkom handlu wewnętrznego, czyli — mówiąc po polsku — sklepom przyjmowanie butelek po różnych napojach. I przez jakiś czas wszystko grało. Sklepy przyjmowały butelki. Radość była powszechna. Ekspedientki wprawdzie narzekały, ale mimo to brały puste butelki. Alis! Wpadły na pomysł, aby sobie życie ułatwić. Któż z nas bowiem nie pragnie sobie życia ułatwić?

Najpierw postanowiono, że butelek pustych nie będzie się przyjmować w soboty. W wolną sobotę czynnych sklepów jest mniej, więc zrozumiałe, że ludzi kupujących jest więcej. Nie można w tym czasie zabrać głowy ekspedientki pustymi butelkami. Ale niektóre sklepy w ogóle uznały, że nie posiadają zaplecza, nie mogą zatem skupować pustych butelek i wywieśli napisy, że są zwolnione od przykrego obowiązku skupowania pustych „opakowań szklanych”. Klienci się awanturowali, bo co mieli robić z tymi pustymi butelkami.

Tak więc szło to z oporami, ale wydawało się, że handel uporał się jakoś ze skupem pustych butelek. Najbogatszym krajem nie jesteśmy, butelka

etka. — Lepiej sobie poplotkujemy.

Powiedziałam, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Możemy plotkować, a ja jednym okiem będę oglądała mecz. Był to chwyt psychologiczny, bo podejrzewałam, że Poetka da się wciągnąć. Dala się.

Holendrzy — jak to się zdarza każdej, przyzwolonej drużynie — zaatakowali od razu i przez kwadrans gra toczyła się wyłącznie na polskiej połowie. Wreszcie, gdzieś tam około 15 minut, udało się Włodzimierzowi Smolarkowi zaatakować holenderską bramkę. Polki sprawozdawca telewizyjny, Dariusz Szpakowski, pochwalił nasz zespół za udaną akcję.

— Jaki zespół — zdenerwowała się Poetka. — To Smolarek jest dobry, ale ichni bramkarz lepszy.

Polacy nie grali najlepiej. Podawali niecelnie. Ale i Holendrzy nie porażali skutecznością. Kiedyś siłą polskiej drużyny były kontry, teraz zupełnie nie umiały tego robić. Za to Dariusz Dziekanowski popisywał się niepotrzebną żonglerką, zatrzymał piłkę ręką, strzelił w ręce bramkarza.

Bez przerwy padał ulewny deszcz.

Naszemu chłopcom zaczęło coś wreszcie wychodzić. Przed wszystkim wyszli spod własnej bramki. Ale po chwili ich gra wróciła do normy i mecz nabrali średnioligowego poziomu. Zaczęło się robić nudno. Moja Poetka, zamiast patrzeć na piłkarzy, zaczęła głośno czytać reklamy.

— Addidas. Omega. Metaxa — czy to przypadkiem nie marka koniaku? — Kodacolor Film. Philips — to radia i magnetofony, skąd ja to znam? — National-Nederland TV — chyba zgłupieli, reklamują własną telewizję? — Bols is erbij — o co im chodzi? — Martini — wreszcie jakieś mądrone słowo — Amstel Bier — o Jezu, też bym się napiła dobrego piwa.

Skończyła się pierwsza połowa. Zero — zero. Na boisko weszła orkiestra, ale realizatorzy przemawiali połączenie z Holandią. Na ekranie pojawił się Jerzy Mrzygłód, który odkrywczo stwierdził, że warunki do gry są bardzo trudne.

— Szkoda, że nie pokazali tej orkiestry — zasmuciła się Poetka i niespodziewanie skonkludowała — orkiestra też ma trudne warunki, ciagle tam pada, a oni muszą nie tylko chodzić po mokrym boisku, ale dać w twarz, które z góry zalewa woda.

Jerzy Mrzygłód powiedział dalej, że nasza obrona gra całym sercem.

— Lepiej graliby nogami — skomentowała Poetka.

Po przerwie Wojciech Łazarek wprowadził na boisko Rydzarda Tarasiewicz, a później — bardzo słusznie — zdjął Dariusza Dziekanowskiego. Dziekanowskiemu zrobiono ogromną krzywdę, wstawiając mu, że jest gwiazdą polskiego piłkarstwa. A tymczasem... Co tu zresztą dużo pisać.

Dziekanowski, jaki jest, każdy widzi.

Nieustannie padał ulewny deszcz. I ciagle było zero — zero.

— Czas płynnie niespodziewanie wolno — anul refleksy Dariusz Szpakowski, a Poetka się dziwi, bo według niej czas zawsze płynnie jednakowo. Skąd, u licha, u poetów taki racjonalizm?

Holendrzy wzięli się do roboty i koniecznie chcieli wybić Polakom gola, ale Jacek Kaźmierski spisywał się znakomicie. Nasi jakby się pozbierali i mądrze zaczęli rozgrywać piłkę na środku boiska. Ale niedługo potrafili ją tam utrzymać i znów zrobili się gorącym pod naszą bramką. Dariusz Szpakowski liczył minuty, pół minuty, sekundę. Wreszcie sędzia zabrał piłkę i odgwiżdżał koniec meczu. Może najpierw odgwiżdżał, a potem zabrał piłkę — sama już nie wiem, jaka jest kolejność, choć wiem, jaka powinna być. Deszcz pada nieustannie. Leje. Cieszy się z tego wyniku, czy nie?

— To był bardzo miły i udany wieczór — powiedziała niespodziewanie Poetka. Wstała i wyszła już bez słowa. Obrzuciła się, czy co?

Na szczęście w Łodzi nie padał deszcz, a do domu miała blisko.

Położyłam się spać, a z zębami, do poduszki, wzięłam jej najnowszą książkę.

BOGDA MADEJ

Rejent — poeta ze Strykowa

W swych dobrach zamieszkałych: dziedzica dóbr Kłecie Jana Gzimskiego, Piotra Strzembosza dóbr Skrety, Dziedzica, i dziedzica Świl — Rocha Wierzbiewskiego, i Jana Kwiecińskiego dziedzica dóbr Gzowa.

Zadyktował mi Płoski testament w te słowa: Sprawda się na mnie stare przysięgi na Rusi — Kruty nie werty, każdy człowiek umrzeć musi, (za młodu nauczono nas: memento mori).

Chcę więc przeciąć pomiędzy następcami spory, Robię testament (straszny ból czuję za skórą), Choć żyję z chrześcijańską pedziłem pokorą, (Rejencie, nie wytrzymaj), chociaż woli Boga Umiałem się podawać (ta przeklęta noga, Bodaż ja diabli wziął, oji) a jednak przecie Jest bym marnym słowem obrażał, na świecie Tedy błagam o uraz szczerze darowanie.

Tak jest: wszystko przebaczam (Walenty, balwante, Pójdz precz, bo wezmiesz w gębę). Mam wioskę, intraj. I spora gotowizna: umieram bogaty, Z poczywcej pracy nieżyję zebrauszy dostatek.

(Doktorze, wacpan chyba przydasz się do jutka, Bo mi ulży nie możesz). Nie zostawiam wdowy, Ni dzieci: bom jest dotąd kawaler marcowy; Mając więc wszelką wolność i czyste sumienie, Czynię ostatniej woli mojej rozrządzenie.

Kochanego synowca, Pioskiego Stefana, Ktożby sądził afekt i poczywcej znana Wszędzie, mianując spadku ogólnym dziedzicem, Niech pomni, że się rozdził z czystej krwi szlachcicem.

Ze więcej niż hrabiowska korona niemiecka, Zdobł u nas szlachcica czysta krew szlachecka. Jednak sobie waruję, aby w ciągu roku Pan Stefan z gotowizny, jaką znajdzie w Stoku, Powiszczał legata niżej wyrażone:

Przeznaczam złotych tysiąc na naszą ambonę Do kościoła w Strykowie, i tam pięć tysięcy Dla kościoła z warunkiem, aby w sześć miesięcy Nabożeństwo żałobne za mnie odprawiono.

(Spiesz, rejencie, bo końca nie doczekam pono). Siostrze mojej Balbinie, która dotąd jeszcze W pańskim mi żyje stanie (tju, jakieś mnie dressze Wciąż przechodzą), co ma lat pięćdziesiąt i więcej, Zapisuję w gotówce sześćdziesiąt tysięcy,

A że z grozem mieć męża tatuo w stare lata, Pewnie z jakimś holtysem diabeł ją wyswata. (Tfu!) Janowi, synowi siostry mojej Zosi, Co życiem swoim zakat rodzinie przynosi, Co stracił wszystko, co miał, na rozpustę, na grę, Co go diabeł (oj, diabeł wymyślił podagrę, Mój rejencie) diabeł go opętał od dziecka,

Jakby w nim nie płynęła stara krew szlachecka, Nie chcąc, by groź mój zmarniał na parol i piłę, Nic mu nie zapisuję: niechaj jak iotr gnije. Slugom moim, co wiernie służą mi czas długi, Mój synowiec zapłaci trzyletnie zasługi:

Ta wola moja ma być wykonana święcie. Ostatni jeszcze legat przynocana święcie, Pisz przedzej, bo ci o leć kalamara roztrącił). Summa złotych dwadzieścia i cztery tysiące Ma być ulokowaną na fundusz wieczysty

Na dobrach nieruchomych, a dochód z niej czysty Ma być co rok płacony temu z uczniów szkoły Piotrkowskiej, co z chłopskiego stanu idąc, goły, Kończąc nauki, złoży najlepszy egzamin.

Już koniec. (Niech was poruc uszczysy diabli) Amen. (Walenty, przynies panom wina na traktament).

Na tym skończył testator, a ja ten testament Spisywa, jak dyktował, bez żadnych dodatków Odczytałem Płoskiemu w obecności świadków, Który go usłyszawszy długo kiwał głową,

A w końcu rzekł, że wola jego — słowo w słowo — Dobrze jest napisana, że nie dodać nie ma.

Po czym zaraz testator, z świadkami czterema Bez przerwy przy tym akcie obecnymi w sali I wraz ze mną rejentem akt ten podpisali...

Tu następuje wyczerpujące. A więc najpierw „idący z tego świata przed majestat boski, własną ręką podpisał pan Kazimierz Płoski”, po nim podpisy złożyli wszyscy czterej świadkowie. Testament wieńczy, również rymowana obowiązująca klauzula: „Akt ten wydany w całej jego treści, na stemplu złotych czterdziestu”.

Niewiele brakowało, żeby ten piekielny trud re-jenta-poety poszedł na marne. Jak bowiem wzmiankuje anonimowy korespondent „Gazety Sadowej”, najstarszego polskiego czasopisma prawniczego, na którego powołuje się autor wspomnianego „Republiki”, zmarł przed laty znany prawnik adw. Józef Litwin, usiłowany obalił moc prawną sporządzonego Testamentu z racji jego niezwykłej formy. Ale Borowy wyszedł z tych zapasów obronna ręka: rymowany Testament ostał się w mocy. Rejent dowiódł, że jego dzieło jest w pełni zrozumiałe dla wszystkich i w niczym nie uchybia formalistycznej kodeksowej.

ADAM OCHOCKI

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(27)



11 kilometrów od punktu „0”.
A także:
† Wszyscy w tym publicznym
schronie
Oprócz Rebbi Courgan, na-
turalnie.

Po atomowej anestezji była ona całkowicie ślepa, głucha, sparaliżowana i bez czucia. Jej organizm zamienił się w stygnący, dziurawy termofor, z którego uchodziły ekskrementy, wody płodowe, krew, pot i śluz. Wzorem trupów rozrzuconych tu wszędzie niedbale, leżała ona na mozaikowej podłodze, w kałuży whisky, pośród odpadków szkła, skorup plastyku, zdartych z ludzi, nadpalonej odzieży, pośród prażonych, chrupiących, czekoladek, orzeszków, herbatników, wafli, galaretek i miążsi owocowej, a na jej obnażonym ciele wysychały kropie kału i soku. Była na pół przytomna i miała zachowaną

siebie i znowu stanął. Patrzył na trap łączący pokład tej hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istniał, z Przystanią Królestwa Niebieskiego.

— Wpierw muszę się pożegnać z moim kumplem Billym-Frankiem — wyjaśnił.

Jego kumpel William Frankley leżał na betonowej posadzce także patrząc na ten brząsk upadający tutaj rdzawymi promieniami przez szczeliny i szpary w ścianach zdemolowanych szybów obu wind. Tłumiony wzrastającą odległością grzmący loskot dobiegał do niego coraz słabszy; tym dośnawszy rozbrzmiewały brzęczenie, szumy i dzwonki — wysyłane z nadajnika zagłuszającego, który miał zainstalowany w głowie, i tym wyraźniej słyszał słowa szeptań przez Olie: „Wkrótce się spotkamy, kochanie”.

— Cokolwiek to było, już minęło — odpowiedział jej.

— Sam w to nie wierzysz, Bill?”

— Powinnaś była rzucić palenie.

— „Hmmm?... Och, nie zmieniaj tematu”.

— Powinnaś była ograniczyć picie.

— „Bill, Kochanie, pamiętasz projekt tego ubioru „Ambasador i Trapers”?

— Powinnaś była wycofać się z pracy zawodowej.

— „Pamiętasz, jak go zareklamowałam?” „Wygodny, praktyczny, elegancki, stosowny na każdą okazję, przydatny nawet podczas wojny atomowej”.

— Jesteś moim najlepszym kumplem, Billy-Frank — wtrącił się do tej rozmowy Gary, przemawiając z narkotyczną serdecznością. Nieporadnie ukiłkił obok Frankleya, a potem powoli, niemal namiętnie, jakby brnął w posłaniec, jedną z swoich wyimaginowanych kochanek, opadł całym ciałem na posadzkę. — I wiesz, co ci powiem? O własny tyłek ddam mniej niż o twoją przyjaźń. I przyszedłem pożegnać się z tobą.

— Czego tu brakuje, to trupów

Przedwczoraj wieczorem stacje telewizyjne i agencje prasowe podały wiadomość o przybyciu Eliasa na Florydę, ale przez cały wczorajszy dzień żadna z nich o tym czarnym proroku nie napomknęła choćby mimochodem, co zaskądziło dręczącą niepewność w pokornych, wielbiących sercach jego zwolenników i czcicieli. Niepewność ta, zabarwiona niepokojem, była bezpodstawna, bo Eliasa miał się pierwszorzędnie, tylko reporterzy nie widzieli powodu do informowania swoich redakcji o jego samopoczuciu ciągle dobrym, czy o jego zdrowiu, którego stan — niestety! — nadal pozostawał kwitnący. Żywił on nadzieję, że po rozkwaterowaniu się w pensjonacie „Patriarchal” Eliasa rzuci kłótnię na „Trójkę Florydzką”, przenosząc ten skażony teren do ościennej czasoprzestrzeni, lub że dokona czegoś równie godnego uwagi, więc na razie nie kwapili się do pisania tych co prawda ulubionych przez czytelników, ale w sumie banalnych i nudnych relacji o tym, gdzie, kiedy i w jakim towarzystwie zjadł on śniadanie, bądź dokąd, po co i jakim samochodem wybrał się na przejażdżkę. Jedyny wyjątek stanowiła redakcja „Miami Herald”. We wczorajszym numerze opublikowała ona notatkę, która nie dotyczyła Eliasa bezpośrednio, niewątpliwie wskazywała na jego osobę. Z treści jej wynikało, że członkowie Ku-Klux-Klanu, którzy liczną grupą przyjechali na Florydę w ślad za czarnym prorokiem, zamierzają urządzić piknik. Odbędzie się on w urokliwej okolicy, komunikował autor notatki, na polanie za pensjonatem „Patriarchal”, a jego scenariusz pomysłowy został tak, by docho-

— Co to, do cholery, znaczy?

— spytał Vincent Sherwood po wysłuchaniu tego doniesienia, które spiker telewizyjny podał za „Miami Herald”. — Docho-

— Pionący krzyż — wyjaśnił lakonicznie jego asystent Sep Diaz. Dopóki jako siedmioletni chłopiec nie wyemigrował on ze swoim ojcem do Stanów Zjednoczonych, mieszkał w zapadłej przygranicznej wiosce meksykańskiej i miał dość okazji, by dowiedzieć się prawdy o tych krzyżach pionących czasem na tamtym brzegu rzeki Rio Grande.

— Do diabła z tymi — Vincent czując, że zaraz go podniebie wstał od stołu monta-żowego i po tej będącej jego drugim domem ciężarówce reżyserskiej odbył spacer, na który złożyły się zaledwie trzy kroki, bo na więcej nie było tu miejsca. — Mój kontrakt przeciwko torebce prażonej kukurydzy, że jest to pomysł tych kuglarzy z ABC.

Pionący krzyż, śmiechu warta. Ostatnie podrygi wisielce. Wpierw ten — pożałuj Boże — program „W obliczu inwazji kosmitów” z godzin wieczornych przeniesi na wczesnopółdnie, wczoraj podjęli rozprawili i jak dotąd bezowocny wysiłek skaperowania do niego Eliasa, dzisiaj wystąpił w nim kommodore z Urzędu Planowania Ekonomiki Wewnętrznej i wygłosił — co łatwo dało się przewidzieć — pogadankę z przezroczymi o funkcjonowaniu parasola ochronnego na wypadek kłopotliwej wizyty z kosmosem, a jutro uatrakcyjnią go rekwiizytem w postaci krzyża. Rekwiizytem dobranym wyjątkowo trafnie. Bo ten program jest już przecież nieboszczykiem. Ale czy tego nie można powiedzieć także o obecnym odcinku, jego program? Trzęsienie ziemi... jawne kpiny. I ten Herschel, dyman fachuwiec od efektów specjalnych, żeby go szlag.

— Niech pan posłucha — tłumaczył mu Vincent jak dziecku. — Zapłaciłem za tę tutaj chałupę niewiarygodną fortunę. Za prawo do jej zniszczenia. Ma to wyglądać tak, jakby ona rozpadła się od podziemnego wstrząsu”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.

— „Będzie wyglądać jeszcze lepiej”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

FFF wybawi cię ze wszystkich kłopotów.
FFF rozwiąże wszystkie twoje problemy.

Ucz swoje dzieci od najmłodszych lat, żeby nie były się FFF. Wyttumacz im, co to jest FFF i w jaki sposób ona działa. W wieku atomowym, w który wkroczyliśmy, dzieci mogą pojąć to nawet lepiej niż ty i przekonają się, że obcowanie z FFF jest miłe i zajmujące. (Zbieżność treści tej reklamy z treścią ogłoszenia firmy Eastman Kodak Company z roku 1955 jest najzupełniej przypadkowa).

FFF, czyli bomb Fission-Fusion-Fission, tylko dlatego do tej pory nie produkowano, że uważano je za broń maksymalnej zagłady i nadmiernego zniszczenia.

(Tak się sprawy miały w prudernej i zacofanej połowie dwudziestego wieku).
C.D.N.

Tytno pochodzi od redakcji FFF, autor „Słońca i słońca”.